

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

6/121

2012 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 6 (121) 2012 Rok wyd. XXI • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



Jerzy DOMAŃSKI

**Odwaga, roztropność
i etos lewicy**

czytaj s. 10

KOMENTARZE

- Donalda Tuska **PROGRAM DLA POLSKI**
- po wyborach w Ameryce
- w 50. rocznicę otwarcia II Soboru Watykańskiego
- przesłanie Kongresu Kobiet Polskich

SCENA POLSKA

Jerzy J. WIATR o kryzysie politycznym w Polsce i odpowiedzialności lewicy

Jerzy DOMAŃSKI: ku rozumieniu współczesności – świat i Polska, lewica i dialog (Rozmowa)

Janina ŁAGODA przeciw rozdrapywaniu ran przeszłości

ŚWIADECTWA

- Julian BARTOSZ i Niall Fergusson
- Czesław MATUSEWICZ i Jan Szmyd
 - Jan SZMYD i Mieczysław Michalik

JEZUS: Jego dzieło i los widziane inaczej przez historyka prof. Edwarda A. MIERZWE

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA • Eugeniusz KABATC • Wacław SADKOWSKI

Ponadto w numerze: recenzje wybranych książek i czasopism, kronika oraz nowe wiersze Stanisława FRAN CZAKA.

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Zdzisław SŁOWIK
Donalda Tuska PROGRAM DLA POLSKI/1
Longin PASTUSIAK
Barak Obama: sukces budzący szacunek/2
Władysław LORANC
Refleksja w 50. rocznicę otwarcia
II Soboru Watykańskiego/3
Wacława MIELEWCZYK
Przesłanie Kongresu Kobiet Polskich/5

SCENA POLSKA

Jerzy J. WIATR
Kryzys polityczny i odpowiedzialności lewicy/7
Jerzy DOMAŃSKI
Ku rozumieniu współczesności: świat i Polska,
lewica i dialog... (Rozmowa Wiesława Łuki
i Zdzisława Słowika)/10
Janina ŁAGODA
Przeciw rozdrapywaniu ran przeszłości/14
Dionizy TANALSKI
Ku pojednaniu narodów i Kościołów Polski
i Rosji: metropolita Hilarion, patriarcha Cyryl I
i arcybiskup Józef Michalik/17

ŚWIADECTWA

Czesław MATUSEWICZ
W złożonym świecie irracjonalizmu/21
Jan SZMYD
Być filozofem/25
Julian BARTOSZ
Wykrzyknik i znak zapytania/27

SCENA MIĘDZYNARODOWA

Daniel ZBYTEK
Arabska wiosna, europejska zima/32

Uri HUPPERT
Amerykańskie peregrynacje premiera
Izraela/34

WOBEC BIBLI

Edward A. MIERZWA
JEZUS: jego życie i los widziane inaczej (Czy
historyk ma prawo mieć wątpliwości?)/36
Andrzej BIERNACKI
Paradoksy krytycznego myślenia/40

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Gdzie szukać społeczników?/42
Eugeniusz KABATC
Homo creator et conciliator/44
Wacław SADKOWSKI
Ukorzenione filozofowanie Józefa Bańki/46

WŚRÓD KSIĄŻEK

Andrzej BIERNACKI
Adama Schaffa humanizm ekumeniczny/48
Zdzisław SŁOWIK
Globalizacja jako proces społeczny/49

W CZASOPISMACH

Wybór i opracowanie
Wacława MIELEWCZYK/50

KRONIKA/3

Z obrad Prezydium Rady Krajowej TKŚ
Bielsko-Biała • Wrocław

Z nowych wierszy Stanisława FRAN CZAKA
O tomie Impresji refleksje Władysława
Loranca/s. III i IV okładki

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI,
Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacław MIELEWCZYK – sekretarz redakcji,
Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK
– redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia ACAD w Józefowie.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

Donalda Tuska PROGRAM DLA POLSKI

To wystąpienie było oczekiwane dość długo, może nawet za długo, jak chcieli opozycyjni politycy czy rozhistryzowane media. Ale rząd i jego premier nie ulegli tej fałszywej w swych intencjach presji. Wybrał drogę spokojnego namysłu, rozważli i policzenia tego wszystkiego, co może służyć Polsce w krótszym i dłuższym horyzoncie czasu, co pozwoli przeprowadzić kraj, jak dotąd, względnie bezpiecznie przez pola minowe światowego i europejskiego kryzysu - ekonomicznego, walutowego i kryzysu zaufania, co zapewni stabilność taką jaka jest, ale połączoną usilną myślą, że stać nam nie wolno i że tylko dalszy zrównoważony rozwój może być naszą szansą na czas tych trudnych dni polskiego życia.

Tak odczytuję główny sens sejmowego wystąpienia premiera (12 października 2012 r.). Choć sam sens jest wartością samą w sobie, to nabiera mocy, kiedy wypełnia go treść, innowacyjne koncepcje, ich konkretność zawarta w faktach i liczbach. To wystąpienie spełniło takie oczekiwania. Toteż zawiedli się gorzko ci, którzy sądzili, że premier da się wciągnąć w polityczną wojnę, albo ci, którzy snuli marzenia na miarę swych bardzo osobistych odczuć czy miar. Bo to było wystąpienie skierowane nie do nich, lecz do polskiego społeczeństwa, oczekującego konkretnych odpowiedzi na pytania, jak żyć w zwykłym polskim życiu, a nie jak żyć w Sejmie czy z Sejmu.

Dwa wszelako projekty Donalda Tuska PROGRAMU DLA POLSKI uznać trzeba za kluczowe. Oto rząd, uznający myśl liberalną za aksjologiczną podstawę swej dotychczasowej działalności, uznał, że myśl ta jest niewystarczająca na współczesny czas, że wymaga istotnej korekty, że nie może jej być obca interwencja państwa w te sfery życia gospodarki i obywateli, gdzie wolny rynek zawodzi lub zawiódł.

Z tego przekonania w PROGRAMIE DLA POLSKI sformułowana została zapowiedź utworzenia specjalnych funduszy o wielkiej wartości, które mają być zainwestowane w gospodarkę przez państwowy Bank Gospodarstwa Krajowego, dokapitalizowany akcjami spółek skarbu państwa. Mówiąc jeszcze inaczej: majątek państwa zamiast zwykłej prywatyzacji, ma służyć inwestycjom.

To inicjatywa wielkiej wagi, wskazująca raz jeszcze na ograniczoność wolnego rynku, choćby pasywność co najmniej tuzina prywatnych banków, które nie chcą się trudzić inwestowaniem w realną gospodarkę, lecz w wygodnych fotelach liczyć wyłącznie gotówkę od gotówki. Teraz ten trud przejmuje w pewnej części polskie państwo, i w pewnym stopniu całe społeczeństwo, po to głównie, aby wnieść wiele nowych ważnych inwestycji, powiększających potencjał przemysłowy kraju, tworzących wiele tysięcy nowych miejsc pracy, zmniejszających bezrobocie, otwierających dla wielu nowe nadzieje.

To wartości nie do przecenienia. A ponieważ naruszają neoliberalne tabu, to już nazajutrz odezwały się przysłowiowe nożyce: strażnicy świętego ognia tego tabu, z łamów największych polskich gazet i innych mediów, oraz wielu ekonomistów kształconych w wierności temu tabu

wzniesli, wielki lament do niebios. Jeszcze chwila i odezwie się ich guru - Leszek Balcerowicz, a co z groźną miną powie, czego, powiedzmy szczerze, nie trudno przewidzieć.

W PROGRAMIE DLA POLSKI przedstawiony został jeszcze drugi niemniej doniosły flar: to program prorodzinny, obejmujący wsparcie rozwoju sieci żłobków i przedszkoli i śmiały projekt wydłużenia urlopów macierzyńskich do jednego roku, według wzorów praktykowanych z powodzeniem w Szwecji; to wreszcie stworzenie gwarancji powrotu do pracy kobiet po urlopie macierzyńskim.

Choćby tylko te dwie inicjatywy PROGRAMU, obok wielu innych odnoszących się do inwestycji infrastrukturalnych, inwestycji w rozwój nauki polskiej czy wzmocnienia naszego wewnętrznego i zewnętrznego bezpieczeństwa, zasługują na wielką uwagę, uznanie i poparcie. Są one bliskie, tutaj bardzo bliskie temu, co proponuje polska lewica; szkoda, że na forum parlamentu nie zostało to powiedziane. Szkoda, że to forum stało się areną, na którą, nie po raz pierwszy zresztą, wylał się potok inwektyw, demagogii, pustego gadulstwa obliczonego na partyjny a nie Polsce służący pożytek. Nie może dziwić, że instytucja ta, polski Sejm, notuje w badaniach społecznych katastrofalny poziom społecznego zaufania. Nadchodzi czas poważnej nad tym refleksji.

Nielatwy czas jest udziałem nas wszystkich: władz publicznych i wszystkich obywateli. Są tego trudnego czasu przyczyny od nas niezależne, ale są też w niemałym stopniu przyczyny, których źródłem są ci wszyscy, którzy dla swoich interesów prywatnych, czy też dla zaspokojenia ambicji politycznych czy światopoglądowych poświęcają to, co powinno być wspólne, budujące wzajemne zaufanie i powiększające obszary dobra.

Sejmowe wstąpienie Donalda Tuska było przypomnieniem tych prawd, było, bez używania wielkich słów, wezwaniem do ich praktykowania w codziennym życiu każdego z nas.

Zdzisław SŁOWIK

Barack Obama: sukces budzący szacunek

Chociaż między obu rywalami do fotela prezydenckiego, demokratą Barackiem Obamą i republikaninem Mittem Romneyem nie było fundamentalnych różnic politycznych, to obaj przedstawili wyborcom różniące się wizje Ameryki. Obie wizje były na tyle różne, że zmusiły ponad 100 mln głosujących Amerykanów do dokonania wyboru.

Barack Obama podkreślał swoje sukcesy i wyprowadzenie gospodarki kraju ze spadku PKB do 2-procentowego wzrostu w tym roku. W czasie jego kadencji bezrobocie spadło z ponad 10% do 7,9%; w czasie jego prezydentury stworzono pięć i pół miliona nowych stanowisk pracy i wydłużono zasiłki dla bezrobotnych. Obama powiedział: „Gospodarka nie funkcjonuje dobrze, ale sektor prywatny dobrze funkcjonuje.”

Jego administracja dzięki funduszom federalnym uratowała wiele przedsiębiorstw przed bankructwem. Około 40 mln Amerykanów uzyskało bądź uzyska dostęp do służby zdrowia. Z inicjatywy prezydenta przejęto ustawę klimatyczną o redukcji emisji szkodliwych substancji o 17% do 2020 r. i o 83% do roku 2050.

W polityce zagranicznej prezydent Obama zakończył wojnę w Iraku i wycofał wojska amerykańskie z tego kraju. Zapowiedział wycofanie wojska USA z Afganistanu do końca 2014 r. Odszedł od doktryny unilateralizmu i prewencyjnego uderzenia. Poprawił wizerunek Stanów

Zjednoczonych na arenie międzynarodowej. Zawarł z Rosją układ START o redukcji głowic nuklearnych do 1550 i środków przenoszenia głowic do 700.

Nie wszystko Obamie udało się zrealizować z programu wyborczego, ponieważ republikańską większość w Izbie Reprezentantów nie ułatwiła mu spełnienia wielu obietnic z kampanii w 2002 r. M.in. nie zlikwidował więzienia w Guantanamo, nie ograniczył dostępu do broni półautomatycznej, nie zlikwidował ulg podatkowych dla najbogatszych i nie uregulował statusu 11 mln nielegalnych imigrantów przebywających w USA.

Mitt Romney obiecywał m.in., że jeżeli zostanie prezydentem przywróci prosperity, otworzy 12 mln nowych stanowisk pracy w ciągu 4 lat, obniży podatki i zwiększy wydatki na obronę i zapewni do 2020 r. Ameryce niezależność pod względem energetycznym. Postulował ograniczenie wydatków federalnych na cele społeczne. Apelował o proklamowanie XXI wieku „Wiekami Ameryki”. Mówił wyborcom: „Jeżeli nie chcecie Ameryki jako najpotężniejszego państwa na kuli ziemskiej – nie jestem waszym prezydentem. Mamy już takiego prezydenta.”

Polskie sprawy i stosunki polsko-amerykańskie nie zaistniały w tegorocznej kampanii wyborczej w USA. Po prostu Polska nie była, nie jest i nie będzie oczkiem w głowie polityków amerykańskich.

Ponieważ doświadczenie wykazuje, że w pierwszej kadencji prezydenci amerykańscy prowadzą bardzo ostrożną politykę by nie zrażać sobie wyborców i zapewnić sobie zwycięstwo na drugiej kadencję można oczekiwać, że w drugiej kadencji Obama będzie prowadził bardziej zdecydowaną politykę i zrealizuje niektóre obietnice z poprzedniej kampanii wyborczej.

Longin PASTUSIAK

Od Redakcji

Gratulujemy Barackowi Obamie ponownego wyboru. Od początku swojej prezydentury budził i budzi jeszcze bardziej teraz naszą sympatię i poparcie.

Longin Pastusiak jest profesorem w Akademii Finansów i Biznesu Vistula, byłym marszałkiem Senatu RP.

Refleksja w 50. rocznicę otwarcia II Soboru Watykańskiego

Otwarcie Soboru Watykańskiego II (październik 1962 rok) przeżyłem jako człowiek dojrzały, zaangażowany w działalność polityczną. Problemy, które wypełniały dzień mój powszedni, nie dotyczyły Kościoła lecz kultury i nauki. Zajmowałem się nimi nie tylko z zawodowego obowiązku. Były tak dynamiczne, ciekawe i ważne, że stały się moją pasją. Pamiętam jednak, że od pierwszego dnia Soboru z codzienną uwagą śledziłem relacje z Rzymu nie tylko w pismach laickich lecz także w najważniejszych pismach katolickich.

Nie byłem wyjątkiem w tym zainteresowaniu. Ówczesna lewica, w każdym razie jej myśląca część, miała świadomość, że Sobór zwołany do Watykanu po dziewięćdziesięciu dwu latach od tego, który go w tym samym mieście poprzedził, będzie bardzo ważny. Mieliśmy nadzieje, iż dla Kościoła będzie miał znaczenie historyczne. Przypomnijmy, że zwołał go papież Jan XXIII,

który od pierwszych dni swego pontyfikatu przyciągnął uwagę rządzących i rządzonych całego świata, a niedługo po opublikowaniu encykliki „Mater et Magistra” (kwiecień 1961) zaczęto go nazywać „proboszczem świata”, co wyrażało nieoczekiwane, wielkie i trwałe uznanie. Przypomnę też, że Sobór przygotowany i otwarto w sytuacji tzw. „kryzysu karaibskiego”, którego dwaj główni partnerzy: USA i ZSRR znaleźli się na granicy apokaliptycznego w możliwych skutkach konfliktu nuklearnego.

Otwierając Sobór Jan XXIII przypomniał, że Kościół ma być wierny tradycji, ale ma brać pod uwagę: „teraźniejszość, nowe warunki i formy życia nowoczesnego na świecie”. Uwrażliwił instytucję, za którą zgodził się przyjąć odpowiedzialność, że powinna posługiwać się „lekarstwem miłosierdzia aniżeli surowością (...) wskazywać raczej na skuteczność swej nauki aniżeli występując z potępieniem”. Nadal traktuję te słowa jako podstawę do twierdzenia, że ten papież zajął się światem jako bytem powszechnym, którego przemiany stawiają przez Kościołem wielkie zadanie. Jego poprzednicy zajmowali się Kościołem powszechnym i z punktu widzenia jego potrzeb oraz interesów oceniali zmiany świata jako ułatwiające lub utrudniające Kościołowi katolickiemu trwanie jako instytucji przynajmniej „pierwszej wśród równych”. Fakt, że w pół roku po otwarciu Soboru jego wielki inicjator ogłosił encyklikę „Pacem in terris”, pierwszą skierowaną nie tylko do katolików lecz „Do wszystkich ludzi dobrej woli”, traktuję jako podstawę do już sformułowanej opinii o jego wielkim znaczeniu.

W tej krótkiej refleksji nie zdołam przeprowadzić egzegezy intelektualnych i moralnych treści Soboru Watykańskiego II. To po prostu zbyt wielki temat, ważny przede wszystkim dla Kościoła lecz istotny także dla ludzi spoza tej wspólnoty.

Przypomniałam, że kruchość ludzkiego życia nie pozwoliła Janowi XXIII dotrzeć do końca Soboru. Następca, papież Paweł VI po wyborze powiedział światu: „Najważniejszym zadaniem naszych papieskich obowiązków jest kontynuacja Soboru Watykańskiego II, ku któremu kierują wzrok wszyscy ludzie dobrej woli. Temu dziełu poświęcimy wszystkie nasze siły”. Wolno powiedzieć, iż Sobór w swym finalnym dorobku był dziełem dwóch papieży: Jana XXIII i Pawła VI. Pierwszy z nich zrobił godny fascynacji użytek ze swego doświadczenia, wiedzy i władzy. Drugi zaimponował talentem i wytrwałością w doprowadzeniu dzieła do końca. Obaj byli nie tylko czułymi kamertonami, w które uderzały sygnały wstrząsanego konfliktami świata. Byli kompozytorami, twórcami partytury potrzebnego mu ładu. A jak wyglądał efekt ich wysiłków? Myślę, że do obu odnieść można słowa jakie w trakcie Soboru wypowiedział kard. Leo Suenes na uroczystości uczczenia pamięci papieża Jana XXIII: „Pozostawił dusze bliższe Bogu i Ziemię ludzką łatwiejszą do zamieszkania”.

Sobór Watykański II obronił wielkie idee zasad ładu ludzkiego jako podstawie trwałego pokoju. Jak powiedziano zamykając jego obrady: „Obecny Sobór to wielka rzecz (...) postanowienia Soboru muszą być wyrazem potrójnej miłości: do Boga, Kościoła i ludzi”. Dokonała się jednak wręcz nieprzewidywana zmiana. Sobór stał się wydarzeniem, które zostało wyniesione na ołtarze jak ludzie błogosławieni czy święci. Można wzywać jego imienia ba, można się do niego modlić lecz podobnie jak święci on nie działa bo działać mogą przecież tylko ci, co go uświęcili.

Wiele zmieniło się w stylistyce kościelnych homilii i w obrzędach. Gdy jednak spojrzymy na obecność Ewangelii w zmieniającym się świecie, zwłaszcza zaś na ich obecność w Kościele zauważymy, że rozumienie najważniejszego ze słów: powszechny, nie uległo zmianie. Wraca to, co Rzymianie nazwali „status quo ante bellum”. Na naszych oczach Sobór Watykański II stał się czymś w rodzaju morskiej latarni. Widzimy jej światło lecz nie wiemy czy załoga statku, który ma przepłynąć między Scyllą globalizmu, a Charybdą demokracji też je widzi.

A przecież Sobór nie był ideą do wyniesienia na ołtarze. Był i pozostaje wielkim programem, który – mimo trudu pontyfikatu Jana Pawła II – pozostaje wciąż dla Kościoła, jak sądzę, niedokończonym zadaniem. Oczekiwany też przez wszystkich ludzi dobrej woli z rosnącą nadzieją.

Władysław LORANC

Przesłanie Kongresu Kobiet Polskich

Była to inicjatywa spotkań, mniejszych i większych zgromadzeń kobiet polskich, zrodzona przed laty z potrzeby dania świadectwa randze i roli kobiety w życiu rodziny, wspólnoty narodowej i państwowej, w życiu kształtującym nasz codzienny świat. Zrodziła się też w latach ostatnich z potrzeby zdefiniowania i zhierarchizowania tego, co w tej randze – w nowych uwarunkowaniach współczesnego świata i Polski – jest najważniejsze, co wymaga, aby tak ułożonemu porządkowi spraw nadać wymiary zdolne w społecznej praktyce czynić życie i pracę kobiet odpowiadające ich godności.

Tegoroczny IV Kongres Polskich Kobiet (wrzesień 2012), przygotowany i przeprowadzony z wielkim rozmachem organizacyjnym i programowym, stał się ważnym wydarzeniem na drodze postępującej emancypacji kobiet polskich, wzrostu ich roli nie tylko w życiu wspólnoty rodzinnej, lecz w życiu społeczeństwa, narodu i państwa. Zdeterminowana wola wejścia kobiet na to rozległe forum życia zbiorowego, zadaje się określać szczególnie sens tego właśnie kongresu.

Sens ten ujawnił się w budzącej szacunek zdolności głównych inicjatorek i organizatorek tego wielkiego zgromadzenia w Sali Kongresowej warszawskiego Pałacu Kultury (byłam jedną z uczestniczek tego spotkania) do skupienia na kongresie uwagi szerokiej opinii publicznej, w czym rola mediów okazała się w tym przypadku wielką wartością dodaną. Następnie, to trafne propozycje programowe, tak sformułowane, aby była zdolne zyskać poparcie kobiet z małych środowisk wiejskich, jak i z wielkich miast. Owa różnorodność środowiskowa, choć nadal widoczna w różnych wymiarach, tak w kraju jak i w kuluarach kongresu, zniknęła całkowicie w światłach sali obrad kongresowych i emocjach wywołanych co chwila słowami wypowiedzianymi z wysokości kongresowej trybuny. A dopełnieniem tego był udział w zgromadzeniu wielu najważniejszych osobistości naszego państwa, że wymienić wystąpienie powitalne małżonki prezydenta Rzeczypospolitej, a w kolejnym dniu premiera rządu. To nie były kurtuazyjne wystąpienia, lecz wyrażona w nich była solidarność z wolą polskich kobiet do życia w równouprawnionym społeczeństwie demokratycznym.

Z debaty panelowej i z dyskusji w zespołach problemowych (jednemu z nich współprzewodniczyła bliska naszemu środowisku pani prof. Danuta Waniek) wyłoniło się wiele wątków i kwestii najważniejszych. Z pewnością do takich należy dobitne upomnienie się kongresu o zrównanie praw kobiet w dostępie do pracy i godziwego wynagrodzenia. Czas skończyć, mówiono, z wciąż wieloma przejawami dyskryminowania kobiet, zwłaszcza przez pracodawców prywatnych, co – wolno ufać – dobrze zapamiętał premier rządu, jak i pani Henryka Bochniarz, reprezentantka interesów tych pracodawców i jedna z najważniejszych inicjatorek i organizatorek kongresów polskich kobiet; to było upomnienie się o stanowcze, skoordynowane działania wobec zjawisk przemocy w rodzinie, tej zwłaszcza przemocy, której ofiarami najczęściej są kobiety; to były liczne propozycje rozwiązań ułatwiających życie kobiety jako rodzicielki i jako tej, której nikt do końca nie może w tej roli zastąpić; i wreszcie, jak już wspomniałam, to upomnienie się o większą niż dotąd przestrzeń aktywności kobiet w życiu publicznym. Choć w tej mierze dokonało się w ostatnich latach wiele dobrego, jeśli zaważyć choćby na to, że drugą konstytucyjnie najważniejszą osobą w państwie jest wspaniała kobieta, pani Ewa Kopacz, lecz mimo to, a może właśnie dlatego, z aplauzem, choć może i z pewną dozą wesołości, przyjęto wypowiedzianą z trybuny kongresu sugestię, aby Sejm RP był w przyszłości podobny do audytorium IV Kongresu Kobiet Polskich.

W tej sugestii, jak w zwierciadle, ukazała się kwestia, której istotą było poszukiwanie rozsądnego kompromisu pomiędzy wieloma rolami, które tradycyjnie i współcześnie pełniły i pełnią

wszystkie kobiety – matki, ich funkcje nie zastąpione w rodzinie, ich szczególne role w wychowaniu do wartości tych, które powołały do życia, a tym, co współcześnie kobieta – coraz bardziej wykształcona i znająca świat – pragnie osiągnąć poza domem i rodziną, czym chce być, także w życiu publicznym, także w wyborze swojego macierzyństwa czy kształtu samej rodziny.

Z trybuny IV Kongresu Kobiet Polskich przekazany został wszystkim jasny sygnał: czas na życie kobiet w wolności swoich przekonań, w zdolności realizacji swoich aspiracji, na życie w świecie tolerancji i szacunku dla swojej godności. To nieocenione wartości w mądrym myśleniu o Polsce – jej trwaniu, ciągłości i rozwoju.

Wacława MIELEWCZYK



DO CZYTELNIKÓW I PRENUMERTORÓW „RES HUMANA”

U końca mijającego roku zwracamy się do wszystkich Czytelników i Prenumeratorów naszego czasopisma, do wszystkich, którzy podzielają bliskie nam wartości humanistyczne i świeckie, o **PODJĘCIE** lub **ODNOWIENIE PRENUMERATY „RES HUMANA”** w nadchodzącym 2013 roku.

Szczególnie zależy nam na podjęciu **PRENUMERATY** naszego czasopisma i jej rozwijaniu, ponieważ tylko tą drogą ustabilizujemy nakład czasopisma oraz zrationalizujemy jego kolportaż, co pozwoli istotnie zmniejszyć koszty wydawnicze, a w istocie zadecyduje o dalszym istnieniu **RES HUMANA**.

Potrzebę takich działania dyktują dziś realia rynku wydawnictw drukowanych, spychanych coraz bardziej przez elektroniczne środki przekazu, niezdolne jednak w istocie do poważnej debaty o człowieku czy współczesnym świecie. A taką debatę, merytorycznie pogłębioną, pragniemy rozwijać z łamów naszego czasopisma piórami znanych ludzi nauki i kultury, rozwijać w duchu wzajemnego szacunku, w duchu dialogu.

Zachęcamy wszystkich Państwa do współdziałania w tej pracy, którą na miarę bardzo skromnych sił i środków prowadzimy od 22 lat, i pragniemy jej dotychczasowego dorobku nie zagubić, a kontynuować dla dobra polskiej kultury.

Redakcja RES HUMANA

Zaprenumerowanie czasopisma można najlepiej dokonać na stosownym blankiecie w formie przelewu bankowego w każdym urzędzie pocztowym na konto bankowe naszej redakcji nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146 w Banku Millennium (nasz adres: 00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

SCENA POLSKA

Jerzy J. WIATR

Kryzys polityczny i odpowiedzialność lewicy

W Polsce narasta poważny kryzys polityczny. Jego korzenie nie tkwią w gospodarce, gdyż – w odróżnieniu od większości państw europejskich – Polska, jak dotąd, nieźle radzi sobie z konsekwencjami światowego kryzysu finansowego. Nie znaczy to, by wolno było lekceważyć potencjalne zagrożenia ekonomiczne, ale oznacza, że występujące obecnie zjawiska kryzysu politycznego nie dadzą się wyjaśnić w kategoriach ekonomicznych.

Mówiąc o kryzysie politycznym mam na myśli dwa procesy. Pierwszym jest postępująca polaryzacja polityczna nacechowana wyjątkową wprost wrogością między dwiema najsilniejszymi partiami. Nigdy dotychczas w Trzeciej Rzeczypospolitej nie było tyle wrogości w stosunkach politycznych. Były spory, ale nie oskarżano się o zdradę stanu, wysługiwanie się Niemcom i Rosji, a w skrajnej wersji nawet o morderstwo polityczne. To coś zupełnie nowego i świadczącego o głębokim załamaniu tej elementarnej solidarności obywatelskiej, bez której demokratyczna rywalizacja przekształca się w brutalną walkę na wyniszczenie. W takim klimacie demokracji grozi to, że stanie się pustą grą pozorów.

Drugim powodem uznania obecnej sytuacji politycznej za kryzysową jest wzrost notowań Prawa i Sprawiedliwości – partii w istocie antysystemowej, walczącej nie tyle o zdobycie władzy, ile o zastąpienie demokratycznego systemu politycznego autorytarną, choć opartą na woli wyborców, „Czwartą Rzeczpospolitą”. Czym taka forma władzy miałaby być, mogliśmy się przekonać w latach 2006–2007, gdy na czele rządu stał Jarosław Kaczyński a ministrem sprawiedliwości był Zbigniew Ziobro. Nie wyciągnięto dotąd konsekwencji wobec ludzi winnych śmierci Barbary Blidy, choć na odpowiedzialność obu poprzednio wymienionych polityków jasno wskazywał raport komisji śledczej Sejmu RP. Czy grozi nam recydywa prowadzonej kilka lat temu polityki? Niestety nie da się tego wykluczyć. Słabnąca Platforma Obywatelska i rosnąca w siłę partia Prawo i Sprawiedliwość to groźne sygnały.

Zagrożenie recydywą „Czwartej RP” jest tym większe, że rząd i prokuratura źle radzą sobie z wykorzystywaniem przez PiS tragedii smoleńskiej dla celów propagandowych. Opieszałość w przekazywaniu informacji, przewlekłe procedury, wreszcie rażące błędy (na przykład przy identyfikacji niektórych ofiar) – wszystko to jest wodą na młyn tych, którzy od dawna głoszą, że 10 kwietnia 2010 roku miała miejsce „zbrodnia” a nie katastrofa lotnicza. Nic nie usprawiedliwia polityków PiS, którzy dla partyjnej korzyści grają tragedią smoleńską, ale to nie zwalnia od krytyki rządu i prokuratury, których działania, a jeszcze bardziej zaniedbania, dają amunicję propagatorom tezy o „zbrodni smoleńskiej”.

W tej sytuacji kluczowe pytaniem brzmi: czy lewica jest w stanie zapobiec katastrofie państwa polskiego?

Lewica jest słaba. Wciąż nie wydobyla się z głębokiego upadku załamania, które trwa od 2004 roku. Warto raz jeszcze zastanowić się nad przyczynami tego załamania, bo bez tego trudno znaleźć drogi wyjścia.

Nie podzielam dość rozpowszechnionego wśród ludzi lewicy poglądu, że wszystkiemu winne są błędy przywódców. Nie twierdzę, że takich błędów nie było; sam o nich wielokrotnie pisałem. Ale przypomnijmy sobie, że od 2004 Sojusz Lewicy Demokratycznej pięciokrotnie zmieniał przewodniczącego, co na tle innych partii stanowiło swoisty, mało zresztą chwalebny, rekord. Wśród pięciu przewodniczących byli weterani (Krzysztof Janik, Józef Oleksy, Leszek Miller) i byli ludzie bardzo młodzi (Wojciech Olejniczak, Grzegorz Napieralski). Częste zmiany kierownictwa nie zmieniały jednak sytuacji partii.

W innych partiach lewicy jest jeszcze gorzej. Socjaldemokracja Polska zaczynała w 2004 roku z wielkimi planami, a dziś jest partią niezdolną do zyskania nawet jednego procenta poparcia. Unia Pracy trzyma się na powierzchni tylko dlatego, że związała się z SLD. W innych partiach lewicowych jest równie źle, albo jeszcze gorzej.

Pozostaje Ruch Palikota. Po wyborach parlamentarnych 2011 sugerowałem („Res Humana” nr 5, 2011) powstanie „wielkiego wspólnego frontu lewicy” z udziałem SLD i Ruchu Palikota. Nie wycofuję się z tego stanowiska, ale z bólem zauważam, że miniony rok oddalił nas od tej perspektywy. Ataki Janusza Palikota i niektórych działaczy jego ugrupowania przeciw SLD i jego przewodniczącemu oddalają zbudowanie wspólnego frontu lewicy. Do błędna droga. Byłoby dobrze, gdyby ci działacze Ruchu Palikota, którym bliskie są wartości lewicowe, zdali sobie sprawę ze szkodliwości atakowania SLD – najsilniejszej partii lewicy, bez której (czy tym bardziej przeciw której) nie uda się zbudować lewicowej alternatywy wobec rządów prawicy.

Podstawową jednak sprawą jest zrozumienie, gdzie tkwią podstawowe przyczyny osłabienia lewicy. **Widzę je w czterech obszarach.**

Pierwszym jest stosunek Polaków do efektów transformacji ustrojowej. Dwa-dziesiąt czy nawet dziesięć lat temu silne były w Polsce obawy o to, co transformacja ta przyniesie. Lewica (tak, właśnie ta „postkomunistyczna”) jawiła się wielu jako siła zdolna do zahamowania tych konsekwencji transformacji, których najbardziej się obawiano: bezrobocia, pogłębiania się biedy uboższej części społeczeństwa. Po przeszło dwóch dziesięcioleciach argumenty te działają dużo słabiej, gdyż większość obywateli naszego kraju (o czym świadczą badania socjologiczne, zwłaszcza „Diagnoza społeczna” profesora Janusza Czapińskiego) czuje się zadowolona ze swej sytuacji. Nie przeczy to istnieniu znacznej (choć stanowiącej mniejszość) warstwy ludzi pokrzywdzonych przez transformację lub uważających się za pokrzywdzonych, co jednak nie oznacza, by byli oni automatycznie zwolennikami lewicy. Dwukrotne okresy rządów lewicy pokazały bowiem, że nie ma ona magicznej formuły pozwalającej uniknąć negatywnych stron gospodarki wolnorynkowej.

Drugim powodem osłabienia pozycji lewicy jest to, że kanon jej wartości podstawowych napotyka na silny sprzeciw znacznej części społeczeństwa polskiego – tej, do której najsilniej przemawiają argumenty fundamentalistycznego nurtu w katolicyzmie polskim. Badania socjologiczne pokazują, że słabnie krytyka obecnie obowiązującej, bardzo restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej, choć – na szczęście – nie ma też zgody na jej dalsze zaostrożenie, do czego nawojują biskupi i politycy skrajnej prawicy. Walka przeciw homofobii napotyka na niezrozumienie, a nawet sprzeciw wielu ludzi – i to szczególnie w środowiskach z przyczyn socjalnych potencjalnie bliskich lewicy. Nie znaczy to, rzecz prosta, że lewica miałaby zrezygnować z głoszenia i obrony własnych przekonań, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że nie zawsze i nie u wszystkich będzie to popularne.

Trzecim powodem słabości lewicy jest – paradoksalnie – sukces naszych działań na rzecz integracji europejskiej. Wejście Polski do Unii Europejskiej było w wielkiej mierze zasługą lewicowego rządu Leszka Millera i lewicowego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Osiem lat później ten sukces jest już czymś, co skłonni jesteśmy uważać za coś oczywistego, natomiast wygórowane nadzieje wiązane z integracją europejską rozbijają się o konsekwencje światowego kryzysu finansowego. Rosną też obawy, że kryzys ekonomiczny występujący w części państw Unii Europejskiej dotrze także do nas.

Wreszcie przyczyna czwarta – uformowanie się, zwłaszcza w młodszym pokoleniu, neoliberalnego sposobu myślenia o gospodarce i sprawach społecznych. Pogląd, że „każdy jest kowalem własnego losu” wyparł przekonanie o niezbędnej solidarności społecznej. Solidarność ze słabszymi przestała być szeroko akceptowanym kanonem myślenia.

Są to procesy psychospołeczne, na które partie – także lewicowe – mają ograniczony wpływ. Muszą one natomiast liczyć się ze skutkami politycznymi tych procesów.

Co z tego wynika dla polskiej lewicy?

Musi ona realistycznie podchodzić do sytuacji, w jakiej działać jej obecnie przyszło. To nie jest sytuacja łatwa i nie należy ludzić się, że jakimś umiejętnym chwytem propagandowym lub personalnym można ją szybko i radykalnie zmienić.

Tym ważniejsze jest stawianie sobie wyraźnych i dających się zrealizować celów. Widzę je dwojako.

Pierwszym, długofalowym celem strategicznym jest głoszenie i obrona podstawowego kanonu wartości lewicy – niezależnie od tego, czy są one popularne w chwili obecnej. Wartości dla lewicy podstawowe – wolność i sprawiedliwość społeczna, świeckość państwa i kultury, tolerancja narodowościowa, światopoglądowa i obyczajowa, ochrona praw człowieka – zasługują na obronę ze względów zasadniczych, a nie koniunkturalnych. Bronimy ich, bo uznajemy je za słuszne, a nie dlatego, że ta obrona przysporzy nam głosów. Lewica pryncypialna w sprawach zasadniczych będzie zawsze potrzebna Polsce i zawsze znajdzie swoich wyznawców.

Drugim celem strategicznym lewicy musi być doprowadzenie do tego, by Polska nie była skazana na wybór między konserwatywną w sprawach światopoglądowych a liberalną w sprawach ekonomicznych Platformą Obywatelską a nacjonalistyczną, klerykałną i autorytarną prawicą spod znaków Prawa i Sprawiedliwości i Solidarnej Polski. Zdobycie przez lewicę silnej pozycji parlamentarnej jest konieczne, jeśli hegemonia dwóch partii prawicowych ma zostać przełamana.

Czy to jest możliwe? Tak, to jest możliwe. Platforma Obywatelska słabnie i jej niemal niepodzielna hegemonia należy już do przeszłości. W jej szeregach coraz wyraźniejsze są pęknięcia światopoglądowe, co ujawniły oba głosowania w sprawie projektu ustawy drastycznie zaostrzającego ustawę antyaborcyjną. Prędzej czy później najbardziej konserwatywna część PO odpłynie – albo wprost do PiS, albo do jakiejś nowej formacji próbującej wskrzesić pomysł „POPiS”-u z 2005 roku. **Gdy to nastąpi, jedyną możliwością zapobieżenia recydywy „Czwartej Rzeczypospolitej” będzie zbudowanie bardzo szerokiej koalicji sił lewicy i centrum.**

Taka koalicja może powstać i funkcjonować tylko w warunkach istnienia silnej lewicy – takiej, która nie stanie się satelitą partii rządzącej. Zbudowanie silnej lewicy jest więc podstawowym warunkiem wydobycia polityki polskiej z trwającego obecnie kryzysu.

To zaś wymaga śmiałej i mądrze prowadzonej ofensywy lewicy. Musi ona kierować się do wszystkich tych środowisk, w których żywe są podstawowe wartości lewicy. Nie stanowią one większości, ale ich zmobilizowanie pozwoli uzyskać znaczący udział w podziale mandatów (parlamentarnych i samorządowych) tak, by rządzenie Polską wbrew czy bez lewicy było niemożliwe. Taki cel mieści się w granicach możliwości.

Ku rozumieniu współczesności: świat i Polska, lewica i dialog..

Z Jerzym DOMAŃSKIM, prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP oraz redaktorem naczelnym tygodnika „PRZEGLĄD” rozmawiają Wiesław Łuka i Zdzisław Słowik

Odgrywa Pan od wielu lat czołową i cenioną rolę w Stowarzyszeniu Dziennikarzy RP, co potwierdził jego niedawny zjazd krajowy i ponowny wybór na prezesa. Gratulujemy i pragniemy zapytać, jak Pan ocenia, mówiąc najogólniej, stan polskich mediów w perspektywie przemian w skali globalnej?

Dziękuję za gratulacje tym miłsze, że płynące od szefa pisma, które od dawna czytam i bez cienia kokieterii, plasują po stronie mądrego i refleksyjnego dziennikarstwa. Stowarzyszenie, któremu przewodniczę, jest jednym z coraz większej palety organizacji, ale z powodów sięgających historii i liczby członków płacących składki, należy do absolutnej czołówki wśród tych, które reprezentują dziennikarzy. Chciałbym jednak od razu ze smutkiem zaznaczyć, że niestety większość polskich dziennikarzy nie identyfikuje się z żadną z istniejących organizacji. Nie widzą potrzeby takiej przynależności, bo nie mogą liczyć na pomoc prawną, szkoleniową czy materialną albo na skuteczną obronę ich praw pracowniczych. Dzieje się tak w sytuacji, gdy duża część dziennikarzy walczy w tym zawodzie o przeżycie. A bezrobocie, śmiem twierdzić – jest największe w historii naszej profesji. Zadziwiającym paradoksem jest przy tym to, że im większe jest bezrobocie, tym więcej mamy na uczelniach wydziałów i instytutów kształcących dziennikarzy. Choć trzeba przyznać, że sytuacja w mediach jest bardzo dynamiczna. Z jednej strony obserwujemy szybkie kurczenie się rynku prasowego, zaś z drugiej bardzo szybki rozwój mediów elektronicznych i internetowych. Przykład – jeszcze dwadzieścia lat temu działało kilka stacji radiowych, dziś są ich setki. A prawdziwie nieograniczone możliwości rozwoju mają te media, które działają w oparciu o internet. Mimo to, jedni wieszczą krach dziennikarstwa, inni, podobnie jak ja, jego ogromne zmiany. Dziennikarstwo ma przyszłość, bo zapotrzebowanie na nowe informacje jest wieczne. Nowe czasy wymagają jednak innego podejścia. Nigdy dotąd tak szybko nie zmieniały się formy i sposoby przekazywania informacji odbiorcom. Dziennikarze muszą zrozumieć, że forma przekazu jest dziś równie ważna jak sama informacja. Jeśli nie ważniejsza. Umiejętność nadążania za potrzebami odbiorców musi być traktowana tak samo poważnie jak zdobywanie informacji.

Zadaliście panowie tyle dobre, co i trudne pytanie: jak oceniać perspektywy polskich mediów? Nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Zależy ona bowiem głównie od punktu widzenia – inaczej na nią spojrzy dziennikarz – celebryta, zarabiający kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie, a inaczej młodzi, zdolni, wchodzący do zawodu, zarabiający półtora tysiąca złotych, czy mniej. A między tymi biegunami jest cała armia pracowników mediów, którzy choć mają już spory staż zawodowy i znaczne umiejętności to nieustannie muszą walczyć o przeżycie. Bo nieustannie wisi nad nimi niebezpieczeństwo zwolnienia z pracy. To bicz, który powoduje, że wielu dziennikarzy decyduje się na różnego typu kompromisy. Byle tylko utrzymać się w zawodzie. Dziennikarze

stają się w coraz mniejszym stopniu twórcami. Ważniejsi dla wydawców są ci, którzy realizują funkcje piarowsko-reklamowe. Teksty dziennikarskie coraz częściej tylko uzupełniają reklamy, ogłoszenia czy towarzyszą kampaniom promocyjnym. Na margines schodzi rzetelne, obiektywne i opiniotwórcze dziennikarstwo. Coraz mniej jest instytucji chcących i mogących solidnie płacić za takie dziennikarstwo. Ambitne dzieło zawsze jest pracochłonne i musi przecież kosztować. Stale tnący koszty właściciele mediów na miejsce droższych, bo kompetentnych dziennikarzy zatrudniają tańszych, choć znacznie gorszych zawodowo, a jak to nie wystarcza to sięgają po studentów. Produkt jaki wtedy powstaje każdy widzi. Efekty? Coraz mniej ludzi chce go w tej formie czytać i kupować.

Do różnych nierówności, jakie znamy z historii, dochodzi na naszych oczach nowa: nierówność w dostępie do informacji. To kolejny paradoks, bo nigdy informacje nie dochodziły do odbiorców tak szybko i do miliardowych rzesz na całym świecie prawie równocześnie jak dziś. Niestety są to informacje merytorycznie drugo- czy trzeciorzędne. Natomiast przepływ informacji pogłębionej, czyli opartej na wielu źródłach i gruntowej wiedzy nie jest już tak szybki i powszechny. A w dodatku staje się coraz bardziej kosztowny. Już niedługo trzeba będzie obojętnie płacić również za wartościową wiedzę prezentowaną w internecie.

Pana cotygodniowe komentarze w „Przeglądzie” dają wyrazisty obraz naszej współczesności i zachęcają do pytania o jej rozwój w kontekście bieżących wydarzeń i dłuższej perspektywy procesów zachodzących w Polsce i na świecie: jakie to wydarzenia i jakie procesy?

Oszczędźmy sobie wymieniania wszystkich procesów i wydarzeń, bo najważniejsze jest to, że problemy, z jakimi borykają się świat, Europa i Polska stały się problemami globalnymi. A skoro tak, to także ich rozwiązanie musi mieć charakter ponadpaństwowy. Jestem przekonany, że jeśli gatunek ludzki ma przetrwać, a nasza planeta się rozwijać, to musimy pozostawić naszym następcom ponadnarodowe instytucje i dać im skuteczne narzędzia, którymi społeczeństwa będą się mogły posługiwać w skali globalnej. Z tego punktu widzenia najciekawszym przeżyciem, jakie jeszcze niedawno było trudne do wyobrażenia w najśmielszych snach, jest integracja europejska. Zaledwie sześćdziesiąt lat temu za marzyciela, a może nawet za szaleńca uważany byłby ktoś, kto by narysował mapę Europy bez granic, z jedną walutą, wspólnymi instytucjami, prawodawstwem itd. Z przekonania jestem entuzjastą takich działań, które mogą pomóc w pokonywaniu kolejnych barier. Droga ku pogłębieniu integracji i współpracy europejskiej to bardzo ambitny i inspirujący cel. To droga dla wizjonerów i marzycieli. A w tych procesach najważniejsze, a zarazem najtrudniejsze do osiągnięcia będą zmiany w naszej świadomości. Zmiany tego co mamy w naszych głowach. I wyzwalanie się z naturalnego egoizmu tak typowego dla ludzi. Ale wtedy każdy musiałby sam sobie zadać pytanie: a co ja mógłbym wnieść nowego i twórczego w ten gigantyczny projekt integracyjny. Projekt, którego chyba nigdy nie będzie można uznać za zamknięty? W tym jest zresztą szansa na takie układanie świata, w którym zmniejszą się nierówności, a nasze życie będzie łatwiejsze i sensowniejsze.

A co Pan myśli o tych, którzy chyba coraz śmielej klaszczą w dłonie z radości, gdy słyszą o niełatwych i aktualnie obserwowanych problemach integracyjnych, o kryzysie? Którzy oczekują rychłego końca Unii?

Wielu ludziom trudno uwierzyć, że świat może być sensowniej poukładany i że od zarania trapiące ludzkość problemy można wreszcie rozwiązać. Zwłaszcza u nas tej wiary mamy jak na lekarstwo. Widzimy przecież jak dużo jest przysłowiowej polskiej zawiści i nieufności. Nie lubimy siebie, swoich współpracowników i sąsiadów. Nie lubimy też państw, z którymi graniczymy. U nas przypuszczenie, że ktoś może się kierować ideami i etyką jest uważane za naiwność. Teorie spiskowe i przekonanie o ciągłych zagrożeniach ze strony otaczających nas zewsząd wrogów są budowane w Polsce od setek lat. Takie myślenie przekłada się także na nasz stosunek do Unii Europejskiej. Wyznawcy tych teorii mają teraz dla siebie dobry czas – czas kryzysu. Winnych najchętniej szukają na zewnątrz. W Brukseli. Tam mają być ci, którzy są winni naszych kłopo-

tów. Bo przecież nam się należy lepsze traktowanie, bo to my jesteśmy narodem wybranym. Stworzonym do przewodzenia, a nie do żmudnej, niewdzięcznej pracy. Nawet Grecy, którzy muszą płacić rachunki za lata beztróskiego wydawania pieniędzy, nie krzyczą podczas protestów, że nadszedł czas porzucenia Unii. Większość Greków chce w niej zostać. Widać, że jest granica, której nawet przeciwnicy integracji nie są w stanie przekroczyć. Co światlejsi ludzie i coraz więcej grup społecznych, doskonale wie, że świat musi być ponadregionalny. Musi się jednoczyć, bo podzielony i skłócony będzie słaby i biedny. Siła i premia za jedność jest po stronie tych, którzy stawiają na kooperację. Prawica co innego zresztą mówi o Unii, a co innego robi, gdy w grę wchodzi jej osobiste interesy. Zauważmy, że w Polsce najzagorzalsi przeciwnicy Unii z zapalem startowali w wyborach do Parlamentu Europejskiego i słychać, że już przygotowują się do startu w następnych wyborach. Niestety obawy o negatywne skutki cynicznych działań przeciwników Unii są uzasadnione. W kryzysie rośnie bowiem podatność na demagogię i szukanie winnych według starych, dobrze już znanych wzorów. Przeciwnicy Unii stali się w ostatnich latach dużo silniejsi – wydają nowe pisma, są coraz aktywniejsi medialnie, biorą udział w licznych debatach, zakładają nowe stowarzyszenia i fundacje. Środowiska prawnicowo-kościelne ciężko pracują nad zmianą, świadomości Polaków. Gromadzą ekspertów. Widać wśród nich nowe twarze, także ludzi młodych. Zaś proeuropejska lewica i liberałowie zamykają się w swoich środowiskach, wycofują się i oddają pole przeciwnikom w przekonaniu, że sprawy przynależności do Unii zostały już definitywnie rozstrzygnięte. To wielki błąd.

Jak pan ocenia obecną polską scenę polityczną, co charakteryzuje jej swoistość, a także jej trwałość w najbliższych latach? Czy może się na niej pojawić coś istotnie nowego?

Z racji swoich poglądów najbardziej martwię się tym, że lewica jest tak słabo reprezentowana w parlamencie i tym, że nie wiele wskazuje na możliwość zmiany tej sytuacji w najbliższych latach. Paradoksem naszej sceny politycznej jest nadreprezentacja jednej, prawicowej części wyborców. Rządząca Platforma Obywatelska jest typem partii trudnej do zdefiniowania. Skupia w swoich szeregach ludzi o wykluczających się w światopoglądach. A to przekłada się także na ich poglądy polityczne. Trudno o spójność w ugrupowaniu, gdy z jednej strony jest Bartosz Arłukowicz, a z drugiej Jarosław Gowin. Dopóki Platforma będzie miała władzę, dopóty może utrzymać się tak szeroki front. Gdy jednak większość wyborców odmówi PO poparcia, to partia może się rozpaść na skutek wewnętrznych konfliktów. Realna władza jest silnym spoiwem, ale tylko do czasu gdy się ją sprawuje. W polityce ważne są bowiem również ambicje ludzi i konflikty interesów. A to może być przyczyną kryzysu w PO, skrócenia kadencji Sejmu i wcześniejszych wyborów parlamentarnych. Jest to tym bardziej możliwe, że wyraźnie czujemy, że nadchodzi kryzys. A kto pretenduje do przejścia władzy? – Prawo i Sprawiedliwość, któremu coraz większa liczba wyborców zapomina nieudolność i antydemokratyczny styl rządów w latach 2005–2007. Chyba, że obudzi się centrolewica, która gdyby potrafiła się zorganizować i zmobilizować mogłaby stać się realną alternatywą wobec rządów prawicy.

Spółceństwu nie pomagają w ocenie sytuacji media, hołdujące „zasadzie”, że dobrą wiadomością jest tylko zła wiadomość.

Prawo i Sprawiedliwość twierdzi, że media je gnębią i nie dopuszczają do głównego nurtu debat. Tymczasem jest zupełnie odwrotnie. To PiS jest nadreprezentowane we wszystkich możliwych dyskusjach. A niezależnie od tego bardzo skutecznie buduje paletę własnych mediów, tworzy wzajemnie wspierające się środowiska i kluby. Spoiwem łączącym ludzi w tych środowiskach jest przekonanie, że katastrofa pod Smoleńskiem była wynikiem zamachu, za który odpowiadają polskie władze i Rosja. A głównym celem PiS i jego akolitów jest wyeliminowanie PO i powrót do władzy.

Czy Kościół katolicki nie mógłby odgrywać na tej scenie roli tonującej?

Polski Kościół jest ze swej natury instytucją konserwatywną, hierarchiczną i skutecznie zabiegającą o własne interesy. Trudno więc mieć pretensje do Kościoła, że jest właśnie taki, jaki jest. Bo jest

taki, jaka jest duża część polskiego społeczeństwa. Kapłanów polskich nikt tu nie przywozi. To są synowie naszej ziemi: pochodzą głównie na wsi i małych miasteczkach. Przenoszą więc mentalność rodzinnych środowisk do Kościoła. Kościół ich kształtował jako dzieci i młodych ludzi, a teraz oni kontynuują tę misję.

To, co Kościół mówi w sprawach na przykład aborcji, czy *in vitro* jest głosem, do którego ma prawo. I nie to jest problemem co mówi i robi strona kościelna. Problemem jest to co mówi i robi druga strona, a raczej to czego nie robi i nie mówi. A co mogło by być realną opozycją intelektualną, światopoglądową i duchową wobec głosu Kościoła. Gdyby przeciwnicy doktryny kościelnej potrafili wystąpić z mocnymi intelektualnie i zrozumiałymi przez ludzi argumentami, społeczeństwo miałoby realną możliwość wyboru. I jestem pewien, że wówczas Kościół nie miałby tak silnej pozycji, jaką ma w tej chwili. Widać przecież, że z wielu powodów, choćby z uwagi na ruchy migracyjne czy swobodny przepływ idei, ale i z uwagi na kryzys i afery w samym Kościele refleksja ludzi nad tym co mówi Kościół jest o wiele bardziej krytyczna niż kiedyś. Polacy są w tym dyskursie zagubieni. Elity intelektualne oraz liderzy polityczni powinni poprzez własne projekty programowe i argumenty brać aktywniejszy udział w tych debatach. Próbuje to robić Ruch Palikota, ale jego głos jest dla większości ludzi zbyt antyklerykalny. W polskich warunkach taki agresywny antyklerykalizm długo jeszcze będzie na marginesie opinii. Zbyt często Ruch Palikota w swojej radykalnej retoryce niewiele różni się od wypowiedzi fundamentalistów kościelnych. Lewica mogłaby mieć większe poparcie, gdyby nie potępiała Kościoła w czambuł i za wszystko, ale potrafiła sprawiedliwie go oceniać. Krytykować, bo jest wiele powodów ku temu, ale również dostrzegać w nim to co wartościowe, choćby jego zaangażowanie charytatywne. Kto wielu takich działań nie widzi, ten ma problemy ze wzrokiem. Warto tu wspomnieć o drodze życiowej i dorobku Kazimierza Morawskiego, wielkiego łącznika między światem religii i lewicą.

Niestety, inteligencja liberalna nie potrafi skutecznie porozumiewać się w Kościołem w takich sprawach jak aborcja, czy *in vitro*. Zmarnowano wiele lat na powtarzanie starych argumentów i formułek, które już nie są akceptowane przez ludzi. To Kościołowi i prawicy udało się zepchnąć sprawę aborcji do podziemia i na dodatek nazwać je kompromisem aborcyjnym. Lewica przepała tu ostatnie lata. A monopol kilku pań na stałe wypowiedzanie się w tych sprawach bardziej szkodzi niż pomaga. Aby ten sprzyjający prawicy trend odwrócić trzeba dopuścić do głosu młodsze pokolenie. Trzeba świeżego języka i nowych argumentów.

Co z polską lewicą, która od 2004 roku – zepchnięta na margines wspólnymi jeszcze wówczas siłami prawicy – wciąż nie potrafi odzyskać siły zdolnej do odgrywania znaczącej roli politycznej?

Polska lewica nie ma wciąż atrakcyjnej dla ludzi oferty politycznej. Trwa, bo po prostu jest na scenie. Tylko co pozytywnego wynika z tego trwania? To jest gremium zamknięte na świat zewnętrzny, a najbardziej na pozapartyjne środowiska lewicowe. Nie bardzo widać tam chęć współpracy z innymi lewicowymi organizacjami, fundacjami i mediami. Jakaś część wyborców będzie jeszcze głosować na SLD, czy na Ruch Palikota, ale te ugrupowania razem czy osobno ciągle nie stanowią wartości, która natchnie ludzi większą wiarą i da nadzieję rzeszy wyborców o poglądach centrolewicowych, że możliwy jest w Polsce głębszy zwrot. Problemem jest także to, że czołowi działacze lewicy okazują wobec siebie nieufność, kopią się po kostkach. Co dalej? Czaszy mamy takie, że jeśli czegoś chcemy to musimy liczyć na siebie i sobie sami to zorganizować. Jeśli jakieś grupy społeczne chcą lewicy na miarę swoich aspiracji to muszą ją sobie zbudować. Bez tego będziemy żyć w stanie apatii i wzajemnych pretensji. Sądzę, że powinien powstać ruch konsolidujący wszystkie środowiska lewicowe mające ambicje odmienienia tej obecnie sytuacji. Silna lewica polska może się odbudować tylko wtedy, kiedy znów stanie się wielobarwna i otwarta na różne strony. Wiem o tym m.in. z setek listów od czytelników naszego pisma, którzy mają do nas pretensje, że jesteśmy w tej sprawie zbyt pasywni.

Chcielibyśmy Panu pogratulować tego, co w „Przeglądzie”, wydaje się nam najciekawsze i najcenniejsze: krzewienia ładu myślenia, opartego na mądrym rozumieniu

etosu lewicy. Pytamy: czy łatwo tak działać w niesprzyjających warunkach, które Pan zdiagnozował?

Powiem wprost – funkcjonujemy jako pismo opinii na wariackich papierach. Jesteśmy zaprzeczeniem reguł wolnego rynku i zaprzeczeniem reguł w oparciu o które działa nasza konkurencja. Robimy „Przegląd”, bo ludzie chcą go czytać, więc go kupują, a wielu naszych autorów chce pisać za psi grosz lub bez honorarium. To pokazuje, jaki jest potencjał po stronie lewicy i jaki piękny kwiat mógłby z tego wyrosnąć, gdybyśmy poczuli wsparcie sojuszników i byli razem w większej grupie. Szczerze mówiąc to pismo ukazuje się tylko dlatego, że ma wiernych czytelników i to oni nadają sens naszej pracy. Potencjał intelektualny naszych komentatorów na czele z prof. Łagowskim, prof. Widackim i prof. Żukiem oraz naszych czołowych publicystów to cenna wartość na polskim rynku wydawniczym. Swoimi artykułami prowokują do myślenia i łamią stereotypy. A o to przecież chodzi w tygodniku opinii. U progu Nowego Roku składam serdeczne życzenia wszystkim czytelnikom i sympatykom „Res Humana”.

Dziękujemy za rozmowę
i odwzajemniamy się najlepszymi życzeniami
dla „Przeglądu” i Pana osobiście

Janina ŁAGODA

Przeciw rozdrapywaniu ran przeszłości

Przybyło nam kolejne święto państwowe wpisujące się w jeszcze nie wyeksploatowany ciąg upamiętniania tzw. *walki o wolną Polskę*.

Tym razem obchodzimy je w dniu 1. marca, a honorować mamy tych, którzy nie bacząc na akt kapitulacji Trzeciej Rzeszy i wbrew rozkazowi o rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych w Kraju, nie złożyli broni, ale zaczęli ją wykorzystywać do niszczenia tego, co inni budowali. Ich naczelnym zawołaniem była walka z komuną. Zabrakło jednak jednolitej interpretacji tego hasła oraz politycznych i organizacyjnych ram działania. Chodzi o tych, których ustawodawca, ustanawiając święto, nazwał *Żołnierzami Wyklętymi*!. Ta stylistyczna figura retoryczna zawiera wprawdzie spory ładunek emocjonalny, ale rozplywa się w pojęciowych domysłach.

W polskiej tradycji wojskowości żołnierz, to – w idealnym wyobrażeniu – wzór cnoty, honoru, patriotyzmu, odwagi, często bohater-

stwa. Wyznaczniki te sytuowały go wysoko w hierarchii społecznej. Nigdy nie przylegał do niego przymiotnik wyklęty, bo kto odważyłby się tak nazwać obrońcę ojczyzny. Zdarzały się wprawdzie sporadyczne przypadki sprzeniewierzenia się tym wzorcom, co najczęściej przybierało postać zdrady, szpiegostwa na rzecz obcych, tchórzostwa, dezercji itp. Jednak nawet w tych okolicznościach nie posilkowano się tym słowem. Także w prawomocnych wyrokach skazujących pojedynczych nieszczęśników próżno szukać takiego określenia. Funkcjonuje raczej w obrębie wyznań religijnych i do tego nawykliśmy. Posiada sporo synonimów, jak przykładowo: *anatema*, *kłątwa*, *ekskomunika* itp., co oznacza wyłączenie ze społeczności wyznawców jakiegoś Kościoła. Ale nigdy dotąd nie odnoszono tego do polskiego żołnierza, o którego tożsamości decydowała legalna armia. Kto miał go wykluczać? A jednak współcześnie się to stało i

w ową zbitkę wyrazów tchnięto nowe życie. Czy, aby na pewno będzie wydawało szlachetne owoce?

Posłów nie interesowała poprawność le-gislacyjna, którą – w racjonalnym trybie – nakłada się na nie budzące wątpliwości wyniki dotychczasowych badań historycznych, a w tym przypadku są one dość jednoznaczne. Stawką było pilne wypełnienie testamentu tragicznie zmarłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, gdyż to była jego inicjatywa. W prezydenckim uzasadnieniu projektu ustawy aż się roi od eufemizmów, jak: *druga konspiracja, powojenne powstanie antykomunistyczne, nowa okupacja sowiecka, rządy reżimu komunistycznego*² itp., a wszystko po to, aby okryć hermetycznym kokonem chwały tych, którzy wbrew rozkazom swoich wyższych przełożonych, a nade wszystko ustaleniom politycznym Wielkiej Trójki podjęli straceńczą walkę i to nie z autorami tych globalnych decyzji, lecz z własnym narodem, dzieląc go w prostacki sposób na *komunistów i niekomunistów*, nie wnikając w sens tych określeń. Wczytując się w ustawę można dojść do wniosku, że jest to **wyłączne święto byłych członków WiN³, bowiem to w dniu 1 marca 1951 roku stracone zostało kierownictwo jej IV komendy.**

Na szczęście większość tych wyimaginowanych określeń nie znalazła się w ostatecznej wersji ustawy, w tym m.in., jak wspomniano, pojęcie: *powstanie antykomunistyczne*. Zainteresowani ustawą, zgodnie zrezygnowali z tego nieprawdziwego pojęcia. Był to zdrowy, albo przypadkowy odruch.

Za uchwaleniem święta rękę podniosło 406. wybrańców narodu i to od prawa do lewa. Zatem pełna, ale chyba tylko mechaniczna zgodność, bo po tym fizycznym akcie głosowania, niektórych posłów nawiedziły refleksje (np. poseł Tadeusz Iwiński z SLD poinformował Prezydium Sejmu, że jest przeciw ustawie, ale głosował za!). Dobrze i to, lecz szkody społeczne są nie do naprawienia. **Święto narodowe miast łączyć, wzmaga antagonizmy. Tak się zaś dzieje, kiedy to dla kunktatorskich celów politycznych nie wyciąga się wniosków z obiektywnie pisanej historii. A z takim to właśnie przypadkiem**

mamy do czynienia. Jątrzenie, to taka polska specjalność.

Z rąk *żołnierzy wyklętych* ginęli przede wszystkim Polacy, którzy włączyli się w proces powojennej odbudowy kraju. Wielu z nich miało za sobą tragiczne okupacyjne doświadczenia. To głównie oni byli obiektami ataków tych tzw. *żołnierzy wyklętych*. Od ich kul padali nie tylko milicjanci, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, działacze różnych partii, ale odbudowujący fabryki, zakładający szkoły, geodeci mierzący pola, rolnicy odstawiający swoje produkty i wielu innych, tylko dlatego, że chcieli żyć w spokoju, na tej ziemi, którą Polsce wyznaczyła Wielka Trójka.

Na celowniku ludzie niewinni, uradowani końcem okupacji. Nie przypuszczali, że można uciec od swoich. Była to klęska, ale i dla mordujących również. Może nie zdawali sobie z tego sprawy? Brakowało jedynie mądrych sterników, nauczycieli. U nas w takich sytuacjach, to towar deficytowy.

Dlaczego dzisiaj zaczęliśmy czcić tych ludzi? Dlaczego wywołano ten temat? Czyżby pojawiły się nowe fakty pozwalające innym inaczej oceniać tamte czasy? Chyba nie. Nastąpiła jakaś nowa moda, której przyczyn trudno jednoznacznie zinterpretować. Jest to nasz swobodny wybór, hasło chwili, owczy pęd, przekora, zatrącenie poczucia rzeczywistości... Trudno zgłębić motyw. Na to nałożyły się też powojenne postępowania władz wobec byłych tzw. prawicowych partyzantów. Był to często niepotrzebny brutalizm. **Przywoływanie do porządku – tak, ale karanie śmiercią – nie. Wspaniałomyślność w określonych sytuacjach jest zaletą.** Ale i stosownych zachowań należało oczekiwać od strony drugiej, tj. *żołnierzy wyklętych*. Jest przecież wiele sposobów i form modyfikowania systemu polityczno-społeczno-gospodarczego. Te krwawe porachunki, to także pokłosie okrucieństwa wojny.

To święto, to kolejne nieszczęście, które nas zajmuje, frapuje, podnieca, odciąga od spraw ważnych. Otacza je jednostronna poświata bohaterstwa, nieugiętości, oddania szlachetnym ideom. Opętani wyświechtaną ideologią byłego rządu londyńskiego i sekun-

dujących mu ugrupowań politycznych, wieszających rozpętanie trzeciej wojny światowej, i co dla nich oczywiste, sromotna przegrana ówczesnego Związku Radzieckiego. Londyński kanapowy rząd zakazał tą ideologią umyślnie, nie wskazując alternatywy. Jakże byłoby wówczas konsekwencje dla Polski i Polaków? Żadnego rozwiązania wykluczyć się nie da, ale też trudno znaleźć jakiegokolwiek argumenty przemawiające na naszą korzyść, co najwyżej można wietrzyć kolejną tragiczną farsę. Bo i Zachód i Wschód, jak zwykle, zbytnio by się nami nie przejmował, znajdując dla siebie najwygodniejsze rozwiązanie. Poza tym świat był zmęczony wojną.

Obserwując obchody tego Świąta odnosi się wrażenie jakoby było one autonomiczne, odbywane gdzieś obok tego czym zajmują się dzisiaj Polacy, pozbawione jakiegokolwiek odniesienia do historycznych uwarunkowań tamtych czasów, w których przyszło działać *wykłetym*. Pojawiły się w różnych miejscach znicze, portrety tych, co zginęli, odbywały się wiece itp., a wszystko udrapowane barwami narodowymi i w asyście honorowych pododdziałów WP, a także różnorako umundurowanych kombatanów oraz ich asystentów. Dla otoczenia było to niezrozumiałe, może egzotyczne. Z jednej strony to przeciwwaga dla tych, którzy wówczas mieli dość okropności wojny, szaleństwa zabijania, ponieważ. Z drugiej strony jest to wątpliwa satysfakcja dla tych, którzy sprzeciwili się temu, co inni budowali, a najprostszą formą tego były krwawe rozprawy, sabotaże itp., co – siłą rzeczy – musiało się spotykać z reakcją legalnej władzy, jaka by ona nie była, ale i Zachód obserwował to z trwogą.

Inaczej potoczyłyby się nasze losy, gdybyśmy poradzili sobie z hitlerowskim naporem. Byliśmy jednak słabi politycznie i militarnie. Przegraliśmy. Czy tam nie należy doszukiwać się naszych wojennych i powojennych losów? **Miał świętować martyrologię, winniśmy spojrzeć na przeszłość z większą pokorą.**

Szaleńca była więc idea zbrojnego wystąpienia przeciwko trzem mocarstwom. Ale nieszczęściem jest to, że od kul *żołnierzy wykłetych* ginęli przede wszystkim pobratymcy, w tym niemało Polaków żydowskiego

pochodzenia oraz Rosjan, Białorusinów. Liczono naiwnie na rozpętanie trzeciej wojny światowej i to tylko po to, aby wyłączyć nas spod radzieckiej strefy wpływów.

To świętowanie byłoby zrozumiałe, jeśli zamiarem była chęć przybliżenia – w rozsądnych granicach – dylematów tamtych czasów. U nas nie jest to możliwe, bo natychmiast pojawia się agresja, przekreślająca wszystko, co szlachetne. I stajemy w punkcie wyjścia.

Trudno spleść w jedną całość: tamte wojenne wydarzenia, bratobójcze walki z tzw. wolnością daną nam – po raz któryś – w końcówce lat 80. ubiegłego wieku. Ich związku znaleźć nie sposób. Właśnie to siłowe poszukiwanie paraleli między dawnymi a współczesnymi czasami, przywołało na pamięć ludzi NSZ czy WiN, którzy rzekomo już wówczas walczyli o dzień dzisiejszy. Fakty nie przemawiają wprawdzie do wyobraźni, ale dla niektórych jest to aż nadto oczywiste. Zachowania płaskie odwrócone od rzeczywistości i wyplukane z jakiegokolwiek wizji wzmocnienia autorytetu Rzeczypospolitej. Teraz na piedestale pozostaje jedna strona, intensywnie wspomaganą *odkryciami* IPN.

Jawi się kolejny paradoks, a mianowicie: jakie dowody, jakie przesłanki przemawiają za tym, że początek walki o wyjście z sfery wpływów ZSRR, później Rosji miał miejsce w momencie zakończenia wojny (niektórzy doszukują się tego zaczynu jeszcze wcześniej), i że ten proces zwieńczono sukcesem w 1989 roku. **Prawda jest taka, że obalenie komuny, to dziecko kompromisu Wschodu i Zachodu, jak to zwykle bywa w naszych dziejach, których nie da się jednoznacznie interpretować, chyba, że się ma dużo złej woli, wmaiwiając wszem, że to wyłączny sukces tzw. krajowej opozycji demokratycznej.**

Przypisy

¹ Święto to wprowadzono ustawą z dnia 3 lutego 2011 roku o ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wykłetych (Dz. U. Nr 32, poz. 160).

² Druk sejmowy nr 2854.

³ Chodzi o organizację o nazwie: *Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji Wolność i Niezawisłość*, założoną w dniu 02.09.1943 roku w Warszawie. Posiadała silne oddziały zbrojne. Od 1948 roku podporządkowana

nieuznawanemu rządowi emigracyjnemu na Zachodzie. Jej celem nadrzędnym była walka z komunizmem. Współdziałała m.in. z UPA, odrzucała kształt granicy państwa polskiego ustalonej w Jałcie, zamierzała uniezależnić się od Związku Radzieckiego itp. Niektórzy twierdzą, że ostatnim *zohnierzem wyklętym*,

który poległ po 18. latach od zakończenia wojny był sierż. Józef Franczak, b. przedwojenny żandarm, ps. *Lalek*, dezertier z II Armii WP, mający na swoim koncie wiele zbrodniczych czynów, ale Prezydent Lech Kaczyński odznaczył go pośmiertnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Autorka tekstu jest ekonomistką, zajmuje się również historią najnowszą, publikowała m.in. na portalu Racjonalista.pl.

Dionizy TANALSKI

Ku pojednaniu narodów i Kościołów Polski i Rosji: metropolita Hilarion, patriarcha Cyryl I i arcybiskup Józef Michalik

Opinie o wizycie w Warszawie w sierpniu 2012 roku Patriarchy Moskiewskiego i Całej Rusi, Cyryla I, są różne. Jedni widzą w niej niewiele znaczący gest typowy dla polityków, którzy starają się zyskać w ten sposób uznanie publiczności, w istocie zaś uprawiają odwieczną grę pozorów skrywających własne interesy; drudzy bezkrytycznie i ufnie przyjmują deklaracje rozmówców jako program ich natychmiastowego działania.

Myślę, że i jedni i drudzy zbyt upraszczają sprawę.

Nie można lekceważyć publicznego a odpowiednio przygotowywanego wcześniej spotkania głów dwóch chrześcijańskich Kościołów odgrywających niemałą rolę w swoich krajach, a przez to i w części Europy i Azji. Pośród czterestu Kościołów prawosławnych Cerkiew rosyjska obejmuje najwięcej wyznawców, dzięki czemu, a także dzięki swoim powiązaniom z władzami Rosji, jest dużą siłą opiniotwórczą i – niezależnie od własnych deklaracji – polityczną.

Kościół rzymskokatolicki w Polsce, mimo pewnego obojętnienia religijnego Polaków, jest także dużą siłą opiniotwórczą i polityczną wśród innych Kościołów w Europie, oraz ważnym ogniwem watykańskiej polityki.

Takie instytucje na ogół nie pozwalają sobie na przypadkowe gesty, dlatego publiczne spotkanie głów tych dwóch Kościołów i ich wspólna deklaracja to jednak wydarzenie bez precedensu, zarówno w bieżącej polityce jak i w historii. Niezależnie zatem od tego, co będzie dalej, **spotkanie się odbyło, wspólna deklaracja została ogłoszona, jest dokument – i trudno będzie się go wyprzeć.** Choć – przynajmniej – nie byłoby to niemożliwe, gdyby ktoś bardzo chciał (a biskupi polscy nie są jednomyślni), dzięki opublikowanemu dzień wcześniej w „Gazecie Wyborczej” artykule wi metropolity Wołokołamskiego Hilariona, a zarazem szefa Wydziału Zewnętrznych Stosunków Patriarchatu Moskiewskiego, a więc osoby urzędowo i oficjalnie zajmującej się kontaktami rosyjskiej Cerkwi z zagranicą.

Ton tego artykułu jest inny, niż ton *Wspólnej Przesłania* głów Kościołów rosyjskiego i polskiego. Już tytuł artykułu jest wymowny: „*Europa tylko z krzyżem*”, a cały tekst napisany jest językiem ostrego religijnego fundamentalizmu naładowanego niechęcią, a nawet wrogością, do niechrześcijan, zwłaszcza do osób niewierzących i do kultury świeckiej.

Jak rozumieć tytuł artykułu? Czy jest to zwyczajnie nieprawdziwy opis Europy? – w Europie są bowiem także wyznawcy religii niechrześcijańskich, choćby, na przykład, islamu, których nie ma na południu Europy. A ludzie niewierzący, których też jest nie ma? A może jest to zawołanie programowe?: niechrześcijan należy przekształcić w chrześcijan lub wyrzucić ich z Europy? (wysiedlenia już przerabialiśmy, wiemy jak to się robi).

Koronnym, ulubionym tematem krytycznych wypowiedzi hierarchów rzymskokatolickich i prawosławnych jest wolność człowieka. Metropolita Hilarion oczywiście nie pominął okazji, aby pouczyć, że ludzie, „skażeni grzechem”, pod pretekstem obrony wolności wyboru gonią za zaspokajaniem ziemskich potrzeb, ulegają swym żądom, przez co niszczą swoją wolność i zmierzają wprost do samozniszczenia. We frazeologii chrześcijańskich fundamentalistów wolność zawsze łączy się z uleganiem niecnym żądom. Z tej logiki rozumowania wynika więc, że aby tego uniknąć, wolność ową należy ograniczać – zapewne według przekonania, że lepiej wolnym nie być. Ale to też kwestia wolnego wyboru! Ponadto w naszych czasach – pisze Metropolita – często mówi się o wolności i prawach człowieka, lecz czy politycy rozumieją, czym są owa wolność i owe prawa? Poza tradycją chrześcijańską, na której zbudowana jest cała cywilizacja kontynentu, Europejczyk – pisze Metropolita – na te pytania nie może znaleźć odpowiedzi.

Teza, że cała cywilizacja kontynentu zbudowana jest na tradycji chrześcijańskiej, także jest stałym elementem fundamentalistycznej i demagogicznej retoryki chrześcijan. Tak, jakby nie wiedzieli, że kultura eurokontynentu zbudowana jest także z przedchrześcijańskich źródeł Dalekiego i Bliskiego Wschodu – Chińczycy, Hindusi, Żydzi, Arabowie, z przedchrześcijańskiej kultury Egipcjan, Gre-

ków i Rzymian, z idei Odrodzenia i Oświecenia wyłamujących się z ram chrześcijaństwa. Oczywiście, chrześcijaństwo wywarło przemożny wpływ, dobry i zły, na europejską kulturę społeczną – nikt rozsądny tego nie neguje, lecz nie znaczy to, że chrześcijańskie samouwielbienie wystarczy do zapamiętania i zrozumienia zarówno dziejów Europy i Rosji jak i ich współczesności.

Metropolita nie zechciał się także powstrzymać przed równie demagogiczną insynuacją pod adresem ludzi niewierzących: oto w symbolu krzyża ludzie ci widzą zarzuty stawiane ich „nieuczciwemu” życiu. O uczciwym zaś życiu osób niewierzących autor widocznie nic nie wie, skoro tak prosto i łatwo niewiara kojarzy mu się z nieuczciwością?

Metropolita Hilarion powołuje się na moralne dziedzictwo chrześcijaństwa jako świadectwo niewzruszonej prawdy o wartości „samoograniczenia i pokory” oraz właściwy fundament budowania „przestrzeni europejskiej”.

Mamy uważać dziedzictwo owo za nieskazitelnie szlachetne, ale przecież ono takie nie jest. Wiadomo, już choćby na poziomie szkoły podstawowej, że dzieje Europy i Azji – i w ogóle dzieje ludzkości – naładowane były przemocą i zabijaniem i że chrześcijanie byli nie tylko zabijani, lecz także sami skutecznie zabijali. Do początków wieku XX (powstanie Związku Radzieckiego) ucisk społeczny, gwałty i zabijanie w Europie i rosyjskiej Azji, indywidualne lub w toku działań militarnych, odbywały się w ramach politycznej i moralnej kultury chrześcijańskiej, a papież, patriarchowie i biskupi z przejęciem pokrapiali święconą wodą dzielne hufce wojaków i ich bojowy sprzęt. Wiadomo też, że chrześcijańscy inkwizytorzy uzasadniali zabijanie „heretyków” (nazwa osób myślących „nieśluszenie”) ich dobrem, bowiem dusza uwolniona od grzesznego ciała więcej już grzeszyć nie będzie mogła.

Oczywiście Chrystusowe idee miłości i pokory odegrały nie małą rolę w łagodzeniu ludzkich obyczajów i wielu chrześcijan ponosiło udreki oraz męczeńską śmierć z powodu swojej ewangelicznej religijności. **Nie wolno o tym zapomnieć i należy im się nasz najwyższy szacunek, lecz to nie znaczy, niestety, że owo „moralne dziedzictwo chrześci-**

jaństwa” składa się tylko z cnót i że należy dziedzictwo to bezkrytycznie powielać.

Metropolita Hilarion kończy jednak swój artykuł stwierdzeniem, że wspólny dokument „religijnych przywódców Rosji i Polski” to ważny krok na drodze umocnienia przyjaźni i współpracy naszych narodów na przekór tym politykom, którzy wzajemne krzywdy uważają za przedmiot targów. Ta konkluzja brzmi już harmonijnie z treścią wspólnego przesłania podpisanego przez owych religijnych przywódców Rosji i Polski.

*

Autorzy „*Wspólnego Przesłania Do Narodów Polski i Rosji*” stwierdzili, że wkraczają na drogę **szczerego dialogu** w nadziei, że przyczyni się on do uleczenia ran przeszłości i przewyciężenia wzajemnych uprzedzeń oraz umocni nas w dążeniu do **pojednania**. Zaakcentowali mocno chęć **zbliżenia Kościołów i narodów Rosji i Polski**. Rozpad pierwotnej jedności chrześcijańskiej, podziały i rozłam, sprzeczne z wolą Chrystusa, stały się wielkim zgorzeniem. Po drugiej wojnie światowej wchodzimy dzisiaj na drogę duchowej i materialnej odnowy – piszą prawosławny patriarcha Cyryl I i rzymskokatolicki arcybiskup Józef Michalik, metropolita przemyski, przewodniczący Episkopatu Polski.

Tej zapowiedzi nie można zlekceważyć. Patriarcha Cyryl i arcybiskup Józef Michalik świadomie umieszczają swoje *Wspólne Przesłanie* w perspektywie wielkiej historii (rozpad pierwotnej jedności chrześcijan, druga wojna światowa...).

Chrześcijaństwo powstało we wschodniej prowincji Cesarstwa Rzymskiego, w Palestynie. Promieniowało stopniowo i na Wschód, i na Zachód. Gdy w IV wieku stolica cesarstwa przeniesiona została do Bizancjum (późniejsza nazwa Konstantynopol), wzrosło też i znaczenie tamtejszej hierarchii chrześcijańskiej, wszakże w miarę rozwoju znaczenia i potęgi świata zachodniego rosła też tendencja do podporządkowania całego chrześcijaństwa władzom rzymskim. W odpowiedzi chrześcijanie konstantynopolscy rozwijają ekspansję na północ (Kijów, Bałkany, Morawy), w wieku XI konstantynopolski patriarcha Celerariusz i rzymski papież Leon IX zrywają

ostatecznie, w atmosferze zdecydowanej wrogości, wszelkie kontakty; ugruntowuje się podział chrześcijaństwa na zachodni katolicyzm i wschodnie prawosławie, który trwał do dziś bez znaczących kontaktów.

I oto tysiąc lat po ostatecznym rozbracie chrześcijan wschodnich i zachodnich, w 2004 roku przyjeżdża do Moskwy szef Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan, kardynał Walter Kasper – powstaje wspólna katolicko-prawosławna komisja robocza, potem (wówczas) metropolita Cyryl spotyka się w Warszawie z prymasem Glempem, a wreszcie 17 sierpnia 2012 roku głowy dwóch wielkich Kościołów chrześcijańskich – Wschodniego i Zachodniego – ogłaszają w Warszawie *Wspólne Przesłanie*. **Wprawdzie hierarchowie owi nie są głowami całego katolicyzmu i całego prawosławia, lecz – jak się rzekło – są na tyle reprezentatywni dla obu wyznań i znaczący (liczebność rosyjskiego prawosławia oraz powiązanie polskiego Kościoła z Watykanem), że owo wspólne Przesłanie można (trzeba?) potraktować jako wydarzenie historycznie niebanalne, z którego może wyniknąć coś ważnego. Nie musi, ale może. Będzie to zależało nie tylko, po prostu, od dobrej lub złej woli głów Kościołów, lecz od wielu obiektywnych okoliczności, które zresztą będą stwarzane także i przez owe głowy. Kto pożyje – zobaczy.**

Język *Przesłania* jest w zasadzie ekumeniczny. Autorzy zwracają się nie tylko do wiernych swoich Kościołów, lecz także do „naszych narodów” i do „wszystkich ludzi dobrej woli”. Apelują do **wszystkich, którzy pragną dobra, do wierzących i niewierzących, o rozwijanie dialogu**, o wolną od przemocy i wojen **pokojują przyszłość** naszych krajów i narodów, o umacnianie **tolerancji** i obronę **fundamentalnych swobód** na czele z **wolnością religijną**, wzywają wszystkich do poszanowania niezbywalnej godności **każdego człowieka**, poszanowania i obrony życia. Autorzy chcą kształtować w młodych ducha chrześcijańskiej kultury której owocem będzie **szacunek, tolerancja** i sprawiedliwość. **Niech każdy Polak w każdym Rosjaninie i każdy Rosjanin w każdym Polaku widzi przyjaciela i brata. Trzeba przebaczyć, wyrzec się**

zemsty i nienawiści („*Ojciec nasz... odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*”), uczestniczyć w budowaniu **zgody i braterstwa** między ludźmi, naszymi narodami i krajami – a to jest podstawa pokojowej przyszłości. **Hierarchie obu Kościołów błogosławią wszystkim.**

Oczywiście, w tekście *Przestania* znajdują się typowe sformułowania o ogromnym wkładzie chrześcijaństwa w formowanie duchowego oblicza i kultury naszych narodów, o kwestionowaniu, pod pretekstem zachowania zasady świeckości, podstawowych zasad moralnych opartych na Dekalogu (tu hierarchie wyraźnie fałszują idee moralności świeckiej, która rzeczywiście pomija religijne przykazania 1–3, **nie odrzuca natomiast norm zawartych w przykazaniach od czwartego do dziesiątego włącznie**), o rodzinie jako stałym związku mężczyzny i kobiety, o ciężkich grzechach terroru, konfliktów zbrojnych, aborcji i eutanazji (jednym tchem!), lecz frazy te nie zięją takim ostracyzmem, jak poprzedzające je sformułowania metropolity Hilariona. W *Przestaniu* bowiem dominuje ton **zrozumienia** i chęci **porozumienia** oraz intencje **tolerancji i dialogu.**

Wśród chrześcijan są osoby, które – niestety – nie mogą żyć bez wroga i bez miłosiernej nienawiści. Ciekawe, czy duch **dialogu i pojednania**, o które apelują patriarcha Cyryl I i arcybiskup Michalik, zdoła objąć także ich dusze i nawróci je na ciągle deklarowaną chrześcijańską miłość?

*

Powyższą moją wypowiedź można potraktować jako tendencyjną, akcentuję bowiem głównie humanitarne idee *Przestania* a nie znane powszechnie od wieków fundamentalistyczne tendencje chrześcijaństwa. O rzeczach znanych i powtarzających się nie warto się rozgadywać, warto i trzeba natomiast o tym, co jest nowe i niepowtarzalne. A sierpniowe *Wspólne Przestanie* jest, moim zdaniem, **zjawiskiem nowym**, które zauważyć trzeba. Odrywa się ono bowiem od tysiącletniej wrogości między dwoma wielkimi wyznaniem chrześcijańskimi i w ogóle od trwałej i powszechnej

tradycji załatwiania ważnych spraw społecznych wrogością, najazdami i wojnami. W XX wieku, prócz wielu wojen mniej lub bardziej lokalnych, wybuchły **dwie wojny światowe** – druga nastąpiła **21 lat** po pierwszej. Obecnie mija **67 lat** od końca drugiej wojny światowej i, na szczęście, nie zanosi się na trzecią, choć ciągle trwają w różnych częściach świata mniej lub bardziej krwawe konflikty i wojny. Terytorialnie są one „lokalne”, ale w wiele z nich angażują się w różny sposób światowe mocarstwa i międzynarodowe organizacje, co sprawia, że tak naprawdę nie są one wydarzeniem czysto lokalnym, lecz także jakoś „światowym”. Lecz owa „światowość” ma inny charakter, niż światowość dwóch wojen XX wieku. Oto ważne organizacje międzynarodowe deklarują, że zasadniczo potępiają te konflikty i wojny oraz podejmują różne działania, aby je wygaszać. I – niezależnie od własnych interesów mocarstw i państw zainteresowanych konfliktami – czasami deklaracje te wcielane są w praktykę. Coraz widoczniejsza niechęć narodów cywilizacji europejskiej do zbrojnego wojowania działa hamująco na plany i inicjatywy militarnych „jastrzębi”.

Uważam, że w historii ludzkości pojawiają się **zarodki nowej społecznej i moralnej kultury**, której dotychczas nie było: ogranicza się stopniowo stosowanie kary śmierci, tortur wobec ludzi a także i wobec zwierząt, podejmuje się akcje humanitarne na rzecz osób i społeczeństw potrzebujących, rodzi się coraz wyraźniej zarys kultury pokojowego współistnienia społeczeństw i państw. Zaledwie zarodki, to prawda, lecz może one nie uwiędną, może rozwinie się z nich coś trwalszego? Tego nie można wykluczyć.

Otóż **warszawskie sierpniowe Wspólne przesłanie hierarchów dwóch chrześcijańskich Kościołów jest historycznym faktem należącym do tych zarodków.** Ono samo nie było by dostatecznie ważne i sprawcze gdyby nie historyczny proces powolnego, lecz widocznego humanitaryzowania się społecznej kultury moralnej, a *Przestanie* to proces ten wzbogacza i wzmacnia na miarę sił obu wyznań.

Autor tekstu jest profesorem filozofii; em. nauczycielem akademickim; autorem wielu ważnych książek; członkiem zespołu naszej redakcji.

ŚWIADECTWA



W złożonym świecie irracjonalizmu

Recenzowana praca stanowi do pewnego stopnia syntezę dorobku Autora, zasłużonego badacza wymienionych w tytule zagadnień. Użyłem określenia „do pewnego stopnia” z tego powodu, by ukazać Czytelnikowi ogrom i doniosłość zamiaru J. Szymda dokonania syntezy kilku ważnych, o bogatym dorobku poznawczym dziedzin wiedzy dotyczących irracjonalizmu. Samo sformułowanie

tytułu pracy, jak widać, już zapowiada przedstawienie wątków z trzech grup tematycznych, a przy nastawieniu merytorycznie-analitycznym śmiało można ich wyróżnić więcej.

Zachowanie irracjonalne również doczekało się specjalistycznego traktowania. Dzięki temu dzisiaj dysponujemy przebogatym zasobem informacji na temat konformizmu i konformistów, o irracjonalnym posłuszeństwie, naśladownictwie, a także o zachowaniach przesądnych, uprzedzeniach, stereotypach, etykietowaniu i innych.

Porównanie tradycyjnych i współczesnych wymiarów zarówno myślenia jak i irracjonalizmu wymaga herkulesowego wysiłku intelektualnego i może służyć jako program badawczy dla kilku zespołów interdyscyplinarnych. Znana jest niebywała pracowitość i kompetencja krakowskiego Profesora, stąd też, jak sądzę, jego ambicja ukazania problemu irracjonalizmu w wielu wymiarach.

Dwa ostatnie terminy tytułowe: psychologia i filozofia irracjonalizmu również wnoszą swoje quantum specyficznej wiedzy psychologia irracjonalizmu – dotyczą pewnych cech osobowości, m.in. podatności na sugestię, obniżonego krytycyzmu, skłonności do wiary w zdarzenia nadprzyrodzone, a także efektu aureoli, pierwszeństwa, redundancji i podobnych. Nie wspomnę tu o wiekowych sporach filozofów o miejscu irracjonalizmu w życiu ludzkim.

Przy tak obszernym zakresie tematycznym trudno (jeżeli w ogóle jest to możliwe) o przedstawienie współczesnego stanu wiedzy w kilku pokrewnych, jednak odmiennych dziedzinach poznania, a także zarysowanie syntetycznego i zwartej poglądu o istocie zagadnienia. Toteż recenzowana publikacja jest raczej wycinkową panoramą wielu zagadnień, widzianą z różnych punktów obserwacyjnych.

Recenzując pracę poczuwam się do obowiązku uprzedzenia Czytelnika, że nie znajdzie on w niej informacji i analiz współczesnych badań irracjonalizmu. Czytając omawiane dzieło wyraźnie widać, że Profesor, zwyczajnie po ludzku, szczególnie przywiązał się do niektórych ze swych tekstów wcześniejszych.

Czy z tego powodu należy czynić Autorowi i wydawcy książki zarzut? Nie sądzę, bowiem obok tekstu o badaniach (wtórnych) A. Meyer-Ginsbergowej, stosującej archaiczne według dzisiejszych standardów metody i nie wiele wnoszącej w sensie poznawczym, czytamy precyzyjne analizy i dobrze udokumentowane konstatacje twórczości Jana Szczępańskiego czy Władysława Witwickiego, który warto przypominać przy każdej okazji, eksponując ich ponadczasowe walory.

Warto podkreślić, że aktualnie ukazują się nadzwyczaj dużo tytułów podważających racjonalność jako orientację życiową. W tej sytuacji jest niezbędne dla utrzymania równowagi społecznej pomiędzy różnymi nurtami wpływów przeciwdziałanie niezmiernie silnemu rozpowszechnieniu irracjonalizmu. Prezentowana praca, jako umiarkowana obrona racjonalizmu, w pewnym stopniu spełnia tę rolę. **Jest więc pożyteczną w sensie utylitaryzm m.in. dlatego, że daje do ręki argumenty historyczne tym, którzy walczą o przestrzeń publiczną dla grup laicko zorientowanych (Nie zabijam, nie kradnę, nie wierzę.). Pokazuje daleko sięgające w przeszłość próby przezwyciężania irracjonalizmu jako zawodnego sposobu poznawania rzeczywistości i źródła nietolerancji, a nawet fanatyzmu.**

Pożyteczna, ale czy wystarczająco skuteczna w owym przeciwdziałaniu? Czy ludzie od 40 lat korzystający z prac Ph. Zimbardo, E. Aronsona, J. Reykowskiego, M. Lewickiej i innych, „oby-cię” z nowoczesnym stylem myślenia tych autorów, zechcą czytać teksty sprzed 50. lat na temat poglądów sprzed niemal 100 lat? Nie można mieć takiej pewności.

Wśród autorów tekstów naukowych przyjęło się obecnie podawanie na początku narracji znaczenia dobrze zdefiniowanych słów kluczowych. Ten zabieg edytorsko-semantyczny znacząco ułatwia komunikowanie pomiędzy nadawcą i odbiorcą przekazu i znacząco ogranicza źródła nieporozumień. W przypadku recenzowanego dzieła słowami kluczowymi byłyby niewątpliwie „irracjonalizm” i „racjonalizm”, a także ich derywaty. Przyjrzyjmy się zatem w jakim znaczeniu zostały użyte w omawianym tekście.

„Tradycyjnie...i dość schematycznie, określa się irracjonalizm i irracjonalność na zasadzie całkowitej opozycji w stosunku do tego, co uznaje się za ich antytezę, tzn. w opozycji do racjonalizmu i racjonalności. Zgodnie z tym stanowiskiem przez irracjonalizm rozumie się na ogół postawę umysłową, która jest opozycyjna, a nawet wroga w stosunku do rozumu albo też – w przypadku kiedy nie przypisuje się jej tej opozycyjności – postawę, która jest pozarozumowa lub nadrozumowa: pomijająca rozum lub go przekraczająca” (s. 16).

Jako „wsparcie” takiego rozumienia interesującego nas terminu podaje Autor w odnośniku *New Catholic Encyclopaedia*, wydaną w 1972 roku. Dla porównania różnych tradycyjnych ujęć przytaczam definicję irracjonalizmu, zamieszczoną w *Słowniku języka polskiego*, pod redakcją M. Szymczaka, wydanego w 1978 r. „Irracjonalizm – pogląd filozoficzny głoszący, że rzeczywistość jest niedostępna poznaniu racjonalnemu, przypisujący najwyższą wartość pozarozumowym środkom poznawczym; także: postawa umysłowa dopuszczająca przyjmowanie przekonań nie na mocy argumentów rozumowych, lecz na mocy tradycji, autorytetu, wiary, instynktu, intuicji itp.” (s. 807).

Jan Szymd, jak widać, rozumie irracjonalizm jako postawę, a nie pogląd. Co to znaczy? „Pogląd” to zespół sądów o właściwościach, stanach lub relacjach wzajemnych rzeczy, przysługuje mu cecha prawdziwości lub fałszywości (prawdy,fałszu). Sąd ma tylko jedno odniesienie – do konkretnego aspektu rzeczywistości. Jest prawdziwy jeżeli przedstawia rzeczy tak, jak one się mają. Natomiast „postawa” jest strukturą bardzo złożoną. Przede wszystkim nie jest ona stanem, lecz wymiarem, tzn., że jest stopniowalna. Przyjęcie takiej definicji pozwala traktować również irracjonalizm jako stopniowalny, np. odróżniać negację wszelkich walorów poznawczych rozumu od twierdzeń o ograniczoności poznania racjonalnego. I jest to znaczący argument przemawiający za przyjęciem tego typu definicji.

Postawa zawsze ma, bo musi mieć z racji swej relacyjnej „natury”, określony obiekt odniesienia. Już nawet obiegowo używa się w naszej mowie zwrotu „Postawa wobec tego a tamtego, czegoś a czegoś”. Czyli, zgodnie z definicją, postawa irracjonalizmu może przybrać tyle odmian, ile ich przybierze racjonalizm.

Takie ujęcie sprawia niekiedy poważne kłopoty terminologiczne i merytoryczne. Istnieją np. pojęcie i teoria racjonalizmu ograniczonego, tzn. takiego, z którym mamy do czynienia w sytuacjach nadzwyczaj skomplikowanych. Podejmując decyzję racjonalną nie możemy wtedy uwzględnić wszystkich możliwych czynników, po części odwołujemy się do wyczucia, domniemania. Czy

wtedy także występuje irracjonalizm? Zgodnie z definicją irracjonalizmu jako postawy odpowiedź musi być pozytywna, zgodnie z obiegowym rozumieniem terminu – nie. Podobnie ma się sytuacja w przypadkach wnioskowania i postępowania w sytuacjach niepewności, np. przy planowaniu budżetu gospodarki narodowej, rozwiązań strategicznych w zmaganiach sportowych i innych.

Interesujące, a zarazem kłopotliwe, jest to, że definicja ta nie obejmuje irracjonalizmu, rozumianego jako brak racjonalizmu albo racjonalności (w postępowaniu, myśleniu). Jeżeli irracjonalizm występuje w opozycji do racjonalizmu to odpowiada mu określony element rzeczywistości lub pogląd dotyczący jakiegoś jej aspektu. I tak, jeżeli mamy do czynienia z odmianami irracjonalizmu, np. z fideizmem, to racjonalizm odrzuca w imię wiary, jeżeli z emotywizmem, to przeciwstawia się mu emocje, jeżeli preferuje się instynktywizm, to w opozycji do rozumu stawia się instynkt itd. A tak powszechny irracjonalizm, który ujawnia się poprzez głupotę, niekompetencje, nieumiejętność, niezdolność przewidywania następstw działania lub decyzji nie ma swego „opozycjonisty”. Bo głupota nie jest elementem struktury umysłu, jest jedynie brakiem racjonalizmu lub rozsądku, zatem nie da się jej definiować jako czegoś, co stanowi opozycję ontologiczną do racjonalizmu. Co najwyżej możemy mówić w tym przypadku o opozycji semantycznej.

Z codziennych doświadczeń wiemy z kolei, że ta forma irracjonalizmu bywa często, jeżeli nie najczęściej spotykana w licznych sytuacjach życia codziennego. Nie szczędzą jej nam przywódcy, czyli politycy zarówno niskiego szczebla władzy, jak i ci, którzy reprezentują szczyty hierarchii władzy. A oni, przynajmniej w teorii, mają być emanacją mądrości narodu. Tymczasem... pojawia się teoretyczny kłopot z ulokowaniem głupoty w wiązce odmian irracjonalizmu, przeciwstawności racjonalizmu. Problem ten nie byłby wart rozważań, a nawet wzmianki, gdyby nie fakt, że definicja irracjonalizmu, podobnie jak wielu innych określeń jest narzędziem kategoryzacji, oceny i praktycznego (społecznego) traktowania zjawisk.

W tej sytuacji, tzn. trudności definiowania warto skorzystać z rady Jana Szczepańskiego, przypomnianej przez J. Szydła, że wszelkie uproszczone próby określenia irracjonalizmu są praktycznie nieprzydatne. Jego rozumienie, a także znaczenie praktyczne zależy od przyjętego kryterium wyróżnienia. Zgodnie z kryterium prawdy, przydatnym i stosowanym przez naukowców, każdy fałsz będzie traktowany jako irracjonalizm. W praktyce lekarskiej kierowanie się zasadą prawdy przyczyniłoby się do pojawienia niepotrzebnego cierpienia wielu pacjentów i interesantów. Rozumność, rozsądek, jak widać, jest potrzebny, a nawet niezbędny w każdym akcie kwalifikacji poglądu lub zachowania do kategorii „irracjonalizm”.

Czytelnik recenzowanej pracy odniesie znaczne korzyści intelektualne z poznania wyczerpującej klasyfikacji odmian irracjonalizmu i ich szczegółowej charakterystyki. Człowiek o przeciętnym poziomie wykształcenia i doświadczenia życiowego zazwyczaj utożsamia irracjonalizm z głupotą, przesądami i obskurantyzmem religijnym. Autor pracy, wbrew sdom obiegowym, uwzględniając liczne niuanse zjawiska, rozumie je bardzo szeroko, ukazując liczne odmiany dąży do wyczerpującego poznania jego istoty.

Recenzowana praca mieni się bogactwem omówień relacji cecha (sfera) psychiki a irracjonalizm. Mamy więc rozważania na temat pojęć: świadomość, myślenie, osobowość, uczucia i inne a irracjonalizm, Szczególną uwagę poświęcił Autor analizie postaw, w jego terminologii irracjonalnej postawie. Postawę przedstawia on jako trójskładnikową strukturę i wyróżnia, zgodnie ze stanem wiedzy psychologicznej, trzy jej elementy: poznawczy, emocjonalny i behawioralny (dotyczący zachowania). Oblicze irracjonalizmu różnicuje się zależnie od tego jaki element wpływa na jego ujawnienie. Poznawczo są determinowane cztery odmiany irracjonalizmu, w tym i ta którą „...kojarzy się z opozycyjnym, albo wręcz wrogim stosunkiem do rozumu...” (s. 28), negowaniem wartości nauki, rozumu.

Przedstawione rozważania o rozumieniu irracjonalizmu nasuwają nieco pesymistyczną refleksję. Rzecz w tym mianowicie, że im więcej wyróżnimy odmian tego zjawiska, tym trudniejsze staje się uchwycenie jego istoty i ocenianie jego społecznej roli.

Interesującą i pouczającą jest ostatnia część recenzowanej pracy, w której Autor stawia pytania „Czy człowiek współczesny może być istotą racjonalną?” (s. 235) albo „Czy ludzie w czasach obecnych mogą być rozumni?” i stwierdza, że nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi, ponieważ natura ludzka jest „trwale wyposażona w pierwiastek racjonalny i irracjonalny. Dodaje również, że współcześnie pewne dziedziny życia spontanicznie wzbudzają „bogate sfery irracjonalności” (s. 237). Do wspomnianych sfer zalicza politykę, twórczość artystyczną, „bytowanie ludystyczne”, stosunki międzysobnicze i inne.

Do upowszechnienia irracjonalizmu przyczyniły zatem: kryzys tradycyjnego racjonalizmu, dominacja techniki nad humanistyką, ekonomiki nad życiem społecznym, „mieć” nad „być”, wartości pragmatycznych nad autotelicznymi, kultury masowej nad elitarną i inne (s. 238).

Nie przypuszczam, by J. Szymd sądził, że wszystkie wymienione sfery z jednakową siłą generowały myślenie i zachowanie irracjonalne. Nie wiadomo bowiem dlaczego postęp techniczny, wymagający wzmoczonej aktywności rozumowej przyczynia się do nasilenia irracjonalizmu. Poza tym niektóre formy wymienionego wyżej „bytowania ludystycznego”, jak to wykazali J. Huizinga i R. Caillois, wspaniale przyczyniają się też do racjonalizacji życia społecznego. Dowcip intelektualny, wyłapywanie sprzeczności, nieprzewidzianych następstw myśli lub czynu (los Midasa) nie są domeną irracjonalizmu.

Charakteryzując stan rozprzestrzenienia irracjonalizmu we współczesnych społeczeństwach, przywołując na myśl jego objawy Autor wskazuje na głupotę. Odniosłem wrażenie, że w opinii badacza jest to wskaźnik dominujący, bowiem dobitność i kontekst określeń wskazują na wyjątkowe znaczenie tego czynnika. Powiada Autor, że w epoce ponowoczesnej coraz szerzej przeciera sobie szlaki „pochód głupoty”, a proces ten jest przeciwieństwem heglowskiego „pochodu rozumu”. Mamy zatem do czynienia z procesem dziejowym, a nie z przejściowym stanem umysłów ludzkich lub fascynacji społecznych (s. 230).

W naszym społeczeństwie również – dodaje Autor – obserwujemy ofensywę niemądrości, braku uznania dla zdrowego rozsądku, bezmyślności i lekkomyślności. Najbardziej są one widoczne i najszybciej się rozpowszechniają wśród „elit” politycznych, opiniotwórczych.

Jeżeli przyjmiemy przedstawioną diagnozę za poprawną i uznamy rozpowszechnianie się irracjonalizmu za niepożądane, to logicznie rzecz biorąc powinniśmy zapytać o to czy istnieją, a jeżeli tak, to jakie są środki przeciwdziałania temu procesowi. Profesor wskazuje na trzy możliwości, dostrzeżone też przez innych. Pierwsza z nich to dokonanie zasadniczej zmiany organizacji społeczeństwa, wyeliminowanie obecnej formy kapitalizmu, przywrócenie harmonii wewnętrznej człowieka. Takie rozwiązanie sugerują m.in. antyglobaliści, anarchiści itp. Druga sprowadza się do postulatów zmiany treści i form edukacji, większe eksponowanie treści nieprzemijających, filozoficznych, antropologicznych, kulturowych. Jest jeszcze i trzecia możliwość, cytuję: „Może po prostu biologiczna ewolucja gatunku ludzkiego – przecież ona się, jak mówią znawcy zagadnienia, jeszcze nie zakończyła – własnymi naturalnymi mechanizmami i siłami niejako wyrówna zbytnie skrajności i przewycięży pewne, być może tylko przejściowe, osłabienie racjonalności człowieka” (s. 242). Ciekawa to hipoteza Autora, ciekawa i złożona zarazem.

Na zakończenie warto zapytać o to czy i jakie korzyści daje studiowanie tej pracy. Niewątpliwie zawiera ona mnóstwo ważnych i ciekawych informacji bezpośrednio dotyczących irracjonalizmu i takich, które tworzą otoczkę wokół problemową. Jest to dzieło erudyty zaangażowanego w proces badania obranego zagadnienia. Jednocześnie jako czytelnik odczuwam pewien niedosyt.

Oto J. Szymd przypomina koncepcję W. Witwickiego, który sugeruje występowanie dwu odrębnych sfer aktywności ludzkiej i mechanizmów jej regulacji. Są to sfera konieczności z obowiązkującą w niej regulacją racjonalną i sfera odpoczynku, luzu, w której uaktywniają się marzenia, fantazje, alogiczne wyobrażenia, wymyślne zabawy itp. W tej sferze króluje irracjonalizm. Sądzę, że ta koncepcja, po dopracowaniu i unowocześnieniu, mogłaby posłużyć jako przesłanka

teoretyczna do analiz stanów i procesów świata wirtualnego, który niewątpliwie odgrywa pierwszoplanową rolę we współczesnych społeczeństwach: generuje mnóstwo nie spotykanych dotąd form irracjonalizmu. Wystarczy wspomnieć o tzw. telewizyjnych debatach polityków, zabiegach o public relations itp.

Czy książka ta przyczyni się do osłabienia owego pochodzenia irracjonalizmu? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Z pewnością dostarcza racjonalistom argumentów w sporze z opozycjonistami, umożliwia lepsze rozumienie genezy i przyczyn trwania różnych rodzajów nieracjonalności, nie osłabi natomiast siły irracjonalizmu, gdyż Autor „szeroko” definiując to pojęcie przyznał temu zjawisku równe z racjonalizmem prawo w życiu jednostek i zbiorowości. W tym kontekście cenne jest przypomnienie myśli Jana Szczepańskiego, że nie idzie o eliminację irracjonalizmu z życia ludzkiego, bo to nie realne, ale o to, by go rozsądnie kontrolować i ograniczać (patrz s. 102).

Czesław MATUSEWICZ

Jan SZMYD: *Myślenie i zachowanie nieracjonalne. Tradycyjne i współczesne wymiary. Z psychologii i filozofii irracjonalizmu.* Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2012 r.



Być filozofem

Uwagi o książce Mieczysława Michalika *W kręgu współczesnych kontrowersji etycznych* zatytułowałem rozmyślnie i trochę chyba przekornie w stosunku do intencji jej Autora. Zatytułowałem tak dlatego, że tytuł tej książki jest, co prawda, odpowiednio przemyślany, trafny, bo rzeczywiście pisze się w niej głównie o aktualnych sporach i dyskusjach etycznych. Jest jednak nieco uskromniony, bo przecież pisze się w niej nie tylko o nich, ale także – i to nawet na pierwszym planie – o sporach i dyskusjach dotyczących człowieka współczesnego; człowieka doby „ponowoczesności”, ekspansywnej techniki i powszechnej globalizacji; pisze się o jego życiu, kondycji duchowej, dominującym kręgu wartości, głębokich i niepokojących przemianach wewnętrznych, typowych działaniach, głównych przejawach kreatywności, o celach i sensie egzystencji, a także i o poważnych zagrożeniach a nawet o swoistej regresji jego człowieczeństwa w warunkach cywilizacji technicznej. Pisze się o tych aktualnych i nader poważnych problemach oraz kłopotach antropologicznych głównie z pozycji filozoficznych i naukowych, rzadziej publicystycznych i potocznie komentatorskich. A więc czytając tę książkę – zaznaczmy to od razu – niezwykle ciekawą, mądrą i pouczającą – odbieramy przede wszystkim ważką myśl i refleksję filozofa, intelektualisty oraz wielkiego erudyty w podstawowych dziedzinach nauk społecznych i humanistycznych a nie jakieś „opracowania” takich czy innych zagadnień dokonywane przez wąsko wyspecjalizowanego akademickiego etyka. Do czytelnika interesującej nas tu książki „przemawia” szeroko antropologicznie i humanistycznie zorientowany filozof, a nie jedynie profesjonalny etyk, a już na pewno nie nakłoniony swą szlachetną, ale praktycznie zawodną misją moralista.

I chcąc nie chcąc odpowiada on m.in. na dość często zadawane dziś pytanie, a mianowicie na pytanie o to, jak być filozofem w czasach współczesnych? Jak być filozofem wiarygodnym i użytecznym, nie zaś nikomu już niepotrzebnym, pobłażliwie a niekiedy może jeszcze i życzliwie traktowanym, jednakże trochę już śmiesznym epigonem dawnych „miłośników mądrości” i budowniczych wielkich, ale niewiele w czasach obecnych już wyjaśniających nam kwestii

z dziedziny natury i właściwości otaczającego nas świata człowieczych relacji z nim. Czytelnik książki M. Michalika szybko upewnia się w tym, że nie kładzie się na niej cieniem jakakolwiek przestarzała i epigonalna filozofia, ale że wyrażana jest w niej filozofia nowoczesna i współcześnie praktycznie użyteczna – oczywiście w rozległym nawiązaniu do filozofii klasycznej. Zaś Autor jej ze znacznym powodzeniem podejmuje rolę filozofa i etyka nowoczesnego. A być filozofem nowoczesnym, w możliwie pełnym i właściwym słowa tego znaczeniu, to znaczy nie tylko umieć i umiejętnie szerzyć szeroką i wielostronną (przyrodniczą, społeczną, humanistyczną, etyczną, estetyczną, itp.) wiedzę o świecie i człowieku, ale także znaczy to nie być pozbawionym naturalnego daru mądrości oraz chęci i umiejętności jej publicznego poświadczania, delikatnego, powściągliwego (nie napuszonego i zarozumiałego) jej ukazywania, a nadto, znaczy to być wyposażonym w dużą wrażliwość na kardynalne, nieprzemijające (dopóki człowiek pozostaje człowiekiem) wartości: prawdę, dobro, wolność, sprawiedliwość, piękno oraz na godność, los i „sprawy” życiowe każdego człowieka: tego z bliższego ale także z dalszego otoczenia.

Lektura książki dowodnie ukazuje, że jej Autor jest takim właśnie pełnym, z dostatkiem wiedzy i umiejętności a równocześnie wrażliwości społecznej i humanistycznej, nowoczesnym filozofem; tym który potrafi i *de facto* pragnie być rzecznikiem nie tylko wiedzy i mądrości, ale także poręczycielem myślenia dobroczynnego i w sprawy ludzkie szczerze zaangażowanego. Wszystkie części książki (jest ich cztery) i zawarte w nich rozdziały (jest ich dwadzieścia) bogato nasycone są zasadniczą i integralną zaletą i postawą filozofa nowoczesnego, który jest „rozdawcą” nie tylko cennej wiedzy i mądrości ale równocześnie szermierzem fundamentalnych i homokreatywnych wartości bez których byłoby niemożliwe życie w miarę pełne i sensowne; życie podtrzymujące swe „humanum” i cywilizacyjnie nie zdegradowane człowieczeństwo; życie nie „skarłowacone”.

I jeszcze jedna niezbędna cecha „pełnego” i społecznie użytecznego filozofa nowoczesnego. Jest to chęć i gotowość do przyczyniania się do zmiany niedobrych rozwiązań i tendencji zastanego świata (ludzkiej rzeczywistości) – mimo uzasadnionego poczucia dużych i różnorodnych ograniczeń a często też ewidentnej niemocy. I tu ze względu na swą specjalizację filozoficzną i naukową (etyczną) najbliższymi Autorowi są dobromyślność – myślenie o dobru (i złu) moralnym, dobroczynność – promowanie dobrych (nie złych) postaw i czynów moralnych i angażowanie w nie tylko siebie, ale i innych.

To co pisze M. Michalik o możliwości i potrzebie tego rodzaju myślenia i działania zasługuje na najwyższą uwagę i skupioną refleksję. Chodzi tu zwłaszcza o drugą i trzecią część książki, zatytułowane: „Jednostka w zbiorowości”, s. 103–185 i „Wartości i wychowanie”, s. 189–264.

Sposób ujmowania podejmowanych zagadnień cechuje m.in. konsekwentny, w nastawieniu swym optymalny i stale jak gdyby nienasycony „materią” rzeczywistości konkretyzm wkładu; konkretyzm wyrażający się w stałej dążności do rzeczowego opisu i wyjaśniania konkretów, czyli w naturalnych swych kontekstach i realnych splotach uwarunkowań znajdujących się faktów, zjawisk i procesów. Nie zaś – co jest charakterystyczne dla tradycyjnych dyskursów filozoficznych – w ujmowaniu ich w sposób abstrakcyjny, czysto pojęciowy, literalny czy jedynie definicyjny. Tym charakterystycznym zaletom wykładu bogatej tematyki omawianej tu książki, towarzyszy jeszcze i taka pozytywna jego cecha, że jest on jasny, komunikatywny, przejrzysty, niekiedy wręcz pedantycznie skonstruowany i artykułowany, a przy tym „prosty”, niewyszukany, formalnie, tam gdzie tylko to możliwe, oddalający się od przekazu czysto akademickiego, a zwłaszcza od napuszonych, udiwnionych, pretensjonalnych, sztucznych i zbytnio – jeśli można tak powiedzieć – wyspecyfikowanych żargonów filozoficznych. To, rzecz jasna, ułatwia kontakt czytelniczy z myślą Autora a równocześnie dość łatwo wywołuje uprawnione przeświadczenie, że tym „prostym”, „naturalnym” językiem wprowadza on nas – swoich czytelników – w świat realny, rzeczywisty, a nie w sztuczne konstrukcje myślowe lub – co gorzej – w nadrealne spekulacje intelektualne czy swoiste gry i wyrafinowane „zabawy” pojęciowe.

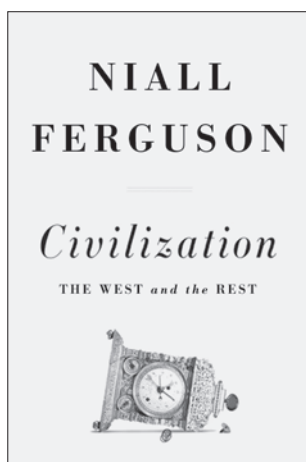
Ten programowy i konsekwentny konkretyzm w ujmowaniu szerokiej panoramy zagadnień – głównie społecznych, antropologicznych i etycznych (omawiana książka jest dziełem wielody-

scyplinarnym) ukazuje – jak już wcześniej to podkreślono – to, że jej Autor jest w swych gruntownych, wielostronnych i „trzymających” się ziemi rozważaniach zarazem filozofem, etykiem, badaczem społecznym i kulturowym, a nadto także autentycznie zaangażowanym w dobre i złe „sprawy” współczesnego człowieka humanistą oraz jego „gorącym”, mądrym doradcą – czyli filozofem i etykiem użytecznym.

Należy gorąco życzyć Autorowi zaprezentowanej tu książki, aby spotkała się ona z odbiorem czytelnictwem na miarę jej wysokich – jak próbowaliśmy to wyżej wykazać – walorów poznawczych, kulturowych i humanistycznych. Nie jest to jednak, niestety, całkowicie pewne, bo przecież jesteśmy świadkami czegoś wielce kulturowo niepożądanego a zarazem nie dość zrozumiałego; czegoś bezspornie negatywnego i wstecznego w naszym aktualnym życiu społecznym i umysłowym, a mianowicie nazbyt szybkiego zapoznawania i wyłączenia z kręgu zainteresowania wybitnego dorobku myślowego i ideowego znakomitych rodzimych twórców i myślicieli oraz rzeczników wyższej duchowości i niezdegradowanego technokratyczną rzeczywistością człowieczeństwa.

Jan SZMYD

Mieczysław MICHALIK, *W kręgu współczesnych kontrowersji etycznych*, Biblioteka „Res Humana”, Warszawa 2012, s. 347.



Wykrzyknik i znak zapytania

1. Książkę 48-letniego profesora Oksfordu i Harvardu Nialla Fergusona *Civilisation. The West and the Rest* przestudiowałem w niemieckim wydaniu¹. Prace tego brytyjskiego autora, określanego przez „The Times” jako najwybitniejszego historyka swego pokolenia były w Polsce już wydawane². Pewnie i *Zachód i reszta świata* trafi do Polski. Czy treść dzieła dotrze także do polskich głów?

Znam się nieco na historii Niemiec ostatnich dwóch stulecia, a że dzieło Fergusona dotyczy dziejów globalnych potęg różnych epok zastrzegam: pisząc o niej nie stać mnie na jej dogłębną re-

cenzę. Nie mam potrzebnej do tego wiedzy. Zreferować, opisać treść dzieła stanowiącego megahistorię ostatnich sześciu stuleci dziejów powszechnych na tle wyprzedzających cywilizacji, z zawartą na przeszło 80 stronach bibliografią i oprzyrządowaniem, – owszem, postaram się.

2. Zetknąłem się z opinią, że Ferguson „jest zwolennikiem tzw. historii konترفaktycznej, którą wykorzystuje do krytyki deterministycznych teorii dziejów, głównie marksizmu”. Zbiło mnie to nieco z pantalyku, burzy moje rozumienie materializmu historycznego. Mam z tymi „kontrafaktami” problem. Gdyby chodziło jedynie o „gdybanie, co by było...” sprawa byłaby prostsza. Wedle mojej wiedzy, determinizm, a więc i marksizm, nie wyklucza „przypadków” w historii, choćby takich jak rola jednostki, która, oczywiście też jest „zdeterminowana” – w ostateczności przez DNA rodziców i dalszych przodków albo też, jak chce Św. Augustyn, przez Boga-Ojca.

Zaszufladkowanie Fergusona do zwolenników „antydeteterminizmu” to jakaś metodologiczna kombinacja. Niewątpliwie jest, że autor kieruje się obawą o dalszą przewodnią rolę Zachodu wobec pozostałego świata. Każę mu ta troska postawić pytanie o to, co sprawiło, że w toku czterech-pięciu ostatnich stuleci „Zachód”³ (a za taki uważa Europę i Amerykę Północną, z przy-

ległościami australijskimi) zdobywał i uzyskał przewagę nad wysoko rozwiniętymi, kwitnącymi przed tym mocarstwami, cywilizacjami⁴. Chce dojść przyczyn tego, „że zachodnia cywilizacja przeżyła tak spektakularny wzrost dobrobytu, wpływu i potęgi”.

3. Autor dziwacznie sięgając w dziele historycznym po pojęcie z zakresu informatyki (Killerapplication⁵) wymienia sześć dla powstania i rozwoju potęgi Zachodu sprawczych czynników.

Na **pierwszym** miejscu wymienia współzawodnictwo, konkurencję czyli „decentralizację zarówno politycznego jak i gospodarczego życia, co wprowadziło w ruch rozwój państw narodowych i kapitalizmu”.

Drugą przyczyną jest nauka – „metoda studiowania, rozumienia i zmieniania świata naturalnego; ta metoda zapewniła Zachodowi m.in. „znaczną przewagę wojskową nad pozostałym światem”.

Trzeci składnik to prawo własności – „praworządność umożliwiła ochronę własności i rozwiązywanie sporów, tworząc podstawy dla najbardziej stabilnej formy przedstawicielskiego rządu”.

Punkt **czwarty** to medycyna. – „ta dziedzina nauki umożliwiła najpierw w Europie potem w europejskich koloniach poprawę stanu zdrowotności i długości życia”.

Jako **piąty** czynnik wylicza społeczeństwo konsumpcyjne – „życie materialne, w którym wytworzenie i nabycie ubrania i innych przedmiotów powszechnego użycia odgrywają gospodarczo ważną rolę bez załamania rewolucji przemysłowej”.

Szóstą wreszcie aplikacją stanowi etyka pracy – „moralne wytyczne i sposoby pracy oparte m.in. na protestantyzmie i zapewniające spójność dynamicznego a potencjalnie niestabilnego społeczeństwa kształtowanego wedle zasad 1 i 5.”.

Uzasadnianiu każdego z tych punktów poświęcone są obszernie rozdziały. Wszystkie one wydają się w świetle cytowanych źródeł z różnych epok (m.in. statystyk i map) bardzo spójne.

4. Wracając tedy do mojej wątpliwości co do „kontrafaktów” i antydeterminizmu autora zastanawiam się nad zakresem konglomeratu „przyczyna-skutek”. Czy słuszne jest jeszcze (a czy kiedykolwiek w ogóle było?) minimalizowanie tego ciągu do sfery materialnej, do sił wytwórczych? Oczywiście, jako ewentualną pomoc możemy przywołać dialektykę z jej wzajemnym oddziaływaniem bazy i nadbudowy. Ulegając czarowi oddziaływania wymienionych „zabójczych aplikacji” nie zapominam, bo zapomnieć nie potrafię, o czymś tak istotnym jeśli nie decydującym w metodzie materializmu historycznego jak walka klas. Takie pojęcie w wywodach Fergusona i w zasadzie wszystkich przez niego przywołanych autorytetów w ogóle nie występuje!

Pojęcie nie, ale w przedstawianych faktach⁶ jest aż nadto widoczna. Jest szczerze przyznanie się do „niegodziwych czynów mocarstw europejskich”, jest też mowa o tym, że prócz „misji” był wyzysk. Jednakże Ferguson odrzuca stwierdzenie, iż „Zachód zapanował nad pozostałym światem, gdyż był imperialistyczny”. Owszem, „niegodziwe czyny się zdarzały”, owszem jest „jasne, że najróżniejsze formy kolonizacji – osadnictwo z jednej strony, a eksploatacja z drugiej – powodowały w długim okresie czasu zróżnicowane skutki”, jednak, jak stwierdza, „budowanie imperiów nie jest historycznie biorąc wystarczającym wyjaśnieniem osiągnięcia przodującej roli Zachodu”⁷. Wszak przed XVI stuleciem, a nawet w tym samym wieku, istniały wielkie wschodnie imperia (Chiny i Państwo Osmańskie) znacznie wyżej rozwinięte niż rozkawałkowana Europa. Niemniej, „w oczach ówczesnych wielkich mocarstw portugalscy czy niderlandzcy żeglarze stanowili zdecydowane przeciwieństwo do >niosących cywilizację<...oni przedstawiali sobą barbarzyńskie zagrożenie”⁸.

5. Obstaże Ferguson konsekwentnie przy swej teorii sześcioro „Killerapplication”, które skutecznie na Zachodzie rozwijane „zabiły” niegdysiejsze potęgi w ich zmurszałych strukturach. Zachód potrafił, pozostali nie! W tabelach zestawia terytorium, ludność i PKB (jak on to obliczył?) – z jednej strony „przyszłych europejskich imperiów w roku 1500), z drugiej te same dane „zachodnich imperiów w roku 1913”.

I tak, w pierwszym przypadku, terytorialnie wynosiło to 10 proc., 16 proc. i 43 proc.

W drugim: 58 proc. (w tym 49 proc. w posiadłościach zamorskich), 57 proc. (w tym w koloniach – 31 proc.) i w PKB – 74 proc. (w tym 16 poza Europą).

Dowodzą te dane, że „rozwój zachodniej cywilizacji stanowi najważniejszy historyczny fenomen drugiej połowy drugiego tysiąclecia nowej ery”.

Któż temu będzie przeczył?

6. Poddając się ogólnie logice wywodów o czynnikach sprawczych potęgi Zachodu przyjrzyjmy się jednemu przykładowi wymienionemu w rozdziale o medycynie. Z uwagi na własną specjalizację (niemcoznawstwo) wybrałem pewien „eksperyment badawczy” z przełomu XIX/XX wieku. Jak pisze Ferguson⁹ „Niemcy stały wtedy na czele zachodniej kultury i cywilizacji.” (33 proc. wszystkich Nagród Nobla w 10-leciu 1901–1910) Na poboczu tej nauki pojawiły się uchodzące wówczas niemal powszechnie za uzasadnione teorie rasistowskie, wyznawane zresztą nie tylko przez niemieckich naukowców i polityków. Powstało pojęcie *Herrenrasse*. Na samym dole gatunku *Homo sapiens* umieszczono Murzynów.

Swe teorie mieli Niemcy sprawdzić w Afryce Południowo-Zachodniej. Nad zawojowanym w 1884 roku obszarem Berlin ustanowił „komisarza Rzeszy”. (Reichskommissar fuer Deutsch-Suedwestafrika. Został nim Heinrich Ernst Goering (ojciec Hermanna). Powołany gubernator Theodor Leutwein rok później rozpoczął wysiedlanie szczepów Herero i Nama z ich łowieckich i hodowlanych terenów, by móc na nich osadzić niemieckich kolonistów. Taką potrzebę uzasadniał w swej książce „Deutsche Kolonialwirtschaft” Paul Rohrbach. Nawiązywała ona do prac antropologicznych Francisa Galtona, który w tak przez siebie nazwanej „eugenicie” widział możliwość selekcjonowania wartościowych pod względem genetycznym ludzi i wzmocnienia w ten sposób „rasy panów”.

Murzyni z pasterskich szczepów Herero i Nama, jak pisał pewien misjonarz, traktowani byli przez Niemców jak małpy, nazywali ich pawianami. Ich zabijanie karano najwyżej grzywną. W 1904 roku – po zgwałceniu i zamordowaniu córki wodza plemiennego – rozpoczęło się powstanie. Cesarz Wilhelm II wysłał dla przywrócenia porządku korpus pod wodzą generała Lothara von Trotha, W odezwie do powstańców nakazał im opuścić terytorium. Ogniem z dział i karabinów maszynowych zmasakrowano w sierpniu 1904 na wyżynie Waterberg dziesiątki tysięcy ludzi w tym kobiety i dzieci. Ci, którym udało się ujść zagładzie, wypędzono na bezwodną pustynię Omaheke. Tam dalej na nich polowano. Oszczędzane już wtedy kobiety i dzieci zamknięto w obozach koncentracyjnych. Trafili do nich również pasterze ze szczepu Nama. Naiwni uwierzyli kolonizatorom, że zostaną przy życiu, jeśli przestaną walczyć. Zamknięto ich w obozie koncentracyjnym na wyspie w pełnej rekinów zatoce Luederitz (od nazwiska niemieckiego kupca, który tu zawitał z początkiem XIX wieku) Nakazano budować wał łączący z lądem.

Ze szczepu Herero (80 tysięcy) pozostało około 15 tysięcy, ze szczepu Nama (20 000) mniej niż połowa. Ich terytorium cesarskim rozporządzeniem stało się w 1905 „krajem korony”. W obozach lekarze przeprowadzali na żywych ludziach eksperymenty. Wybranych jeńców poddano specjalnej selekcji w ramach „rasowo-biologicznych badań”. Głowy obcięte trupom tubylców i oczyszczone przez niewolnice wysyłano do Niemiec jako materiał badawczy i ekspozyty do demonstrowania studiującym eugenikę.

Sam Paul Rohrbach oskarżał pacyfikatorów o bezmyślność: kolonistów niemieckich pozbawiano w ten sposób niewolniczej siły roboczej – pisał. Nasz brytyjski autor zaś pyta, czy to, co się stało w Niemieckiej Afryce Zachodniej „nie służyło jako pole doświadczalne dla późniejszych znacznie większych zbrodni przeciw ludzkości?”

Dodajmy od siebie: W roku 1985 przyjęty przez Komisję Praw Człowieka ONZ Report Whitakera tak właśnie praktyki kaiserowskich Niemiec określił. Nazwano to pierwszym w nowoczesnym świecie genocidem. Berliński rząd w 2004 roku uznał odpowiedzialność Niemiec. Siedem lat później przedstawiciele Namibii zażądali od Niemiec wydanie przechowywanych w berlińskiej Charitee czaszek zamordowanych Herero.

Zauważyć nadto należałoby, że wielu oficerów z cesarskiego korpusu ekspedycyjnego kierowało po I wojnie światowej tzw. Freikorpsami walczącymi na Śląsku z polskimi powstańcami.

8. Odchodząc od opisanego przypadku skrajnej patologii „misji cywilizacyjnych”, w tym wypadku w dziedzinie medycyny, która na przełomie dwóch wieków „wessała” eugenikę, „przyrodną siostrę bakteriologii” (Ferguson) jako uznaną naukę służącą zdrowiu społeczeństw, wróćmy do głównego motywu książki Nialla Fergusona.

Jest nim troska o zachowanie przodującej i panującej pozycji Zachodu. Może należałoby to nazwać obawą?

Autor, który w swej książce opisał, jak nagle załamywały się niegdysiejsze potęgi, przywołał najrozmaitsze zdania ubiegłowiecznych myślicieli, m.in. 18-wiecznego brytyjskiego filozofa Henry’ego ST. John, że „najlepiej urządzone rządy (...) noszą w sobie zarodek samozniszczenia”, przestrogi swe uzasadnia perspektywami rozwojowymi Chin (wraz z potencjałem Tajwanu, Hong-Kongu i Singapuru).

To, co nastąpiło tam pod względem gospodarczym i naukowym od pierwszych reform przed 30 laty nazywa „największą i najszybszą rewolucją przemysłową wszechczasów”. Widzi to na tle całej Azji, gdzie Japonia, poczynając już od drugiej połowy XIX wieku zaczęła – jak pisze „informatycznie” – łądować wymienione przez siebie „Killerapplikationen” – po prostu kopiując we wszystkim wzorce Zachodu. Chiny nie kopiowały, one przystosowywały. Zauważa przy tym, że z szczęściu „aplikacji” wewnętrzna wolna konkurencja i rządy reprezentatywne nie znajdowały zastosowania, natomiast nauka, medycyna, konsumpcja i etyka pracy tym silniej.

Nie mam pojęcia, jak porównawczo autor obliczył PKB USA i Chin w roku 1800, niemniej napisał, że amerykański produkt krajowy był wtedy dwukrotnie wyższy niż ówczesnych Chin. Po 70 latach wynosił już pięciokrotność, w 1910 był dziesięć razy większy, w 1968 – 33 razy a liczony w dolarach aż 77 razy.

Obecnie (Ferguson skończył książkę w 2010 roku) na głowę mieszkańca w Chinach przypada 15 proc. PKB/c w stosunku do obywateli USA, 30 lat temu – niecałe 4 proc. Ale ogólny PKB Chin rosnąc w ostatnich trzech dekadach kolejno dziesięciokrotnie, może w 2014 roku sięgnąć pod względem wewnętrznej siły nabywczej poziom Stanów Zjednoczonych a licząc w dolarach ma szansę prześcignięcia USA w produkcji przemysłowej w 2020 roku. Wszelako: jedynie 0,4 proc. gospodarstw domowych Chin dysponuje 72 procentami prywatnego majątku.

Z drugiej strony, jak opisuje, dług federalny USA mogący w 2021 roku wynieść aż 90 proc. PKB do 2030 urosnąć może do 300 proc. Sumując, wszelkie zadłużenia państwowe z uwzględnieniem stosunku długu do dochodu USA z 358 procentami były w 2009 roku nawet bardziej zadłużone niż Grecja już wtedy z 312 proc. znajdującej się na skraju bankructwa. I choć opisuje budzące zaufanie i nadzieje potencie i możliwości największego dotąd mocarstwa to wskazując na zasoby pieniężne Chin (nie podaje ich) i na fakt, że jedną piątą papierów dłużnych USA znajduje się już w rękach Państwowego Banku Chińskiego, a ekspansja kapitału chińskiego zdaje się nie do pohamowania, Ferguson znajduje pocieszenie w taki oto sposób: „Wiemy, że zachodnia cywilizacja: to cały pakiet. Chodzi o polityczny pluralizm, o ustrój kapitalistyczny, o wolność myśli i naukową metodę, o praworządność, o prawo własności i o demokrację”. I jeszcze z tą samą pewnością i zarozumiałością: „Zachodni pakiet oferuje ludzkim społecznościom wciąż te gospodarcze, społeczne i polityczne instytucje, które najlepiej wyzwalają indywidualną kreatywność zdolną rozwiązać wszystkie problemy, które stoją przed światem XXI wieku”. Nie wolno tracić tej wiary – podkreśla Ferguson.

Brak w tym miejscu jedynie słowa AMEN z wykrzyknikiem i znakiem zapytania.

Julian BARTOSZ

Przypisy

¹ Niall Ferguson, „Der Westen und der Rest der Welt. Die Geschichte vom Wettstreit der Kulturen“. Propylaen 2012.

² „Imperium. Jak Wielka Brytania zbudowała nowoczesny świat”. Wydawnictwo Spraw Polityki Zagranicznej 2007; „Kolos. Cena amerykańskiego imperium”, WSPZ 2010 i „Potęga pieniądza. Finansowa historia świata”, Wydawnictwo Literackie 2010.

³ „Zachód” – autor pojmuje to pojęcie „pozaobszarowo”, jako opis „szeregu norm, zachowań i instytucji”, których granice są płynne, widzi w tym określony „pakiet”

⁴ Cywilizacje – to „największa ludzka wspólnota,... stanowiąca jej praktyczną odpowiedź na warunki otaczającego świata” (s. 32). W ostatnich 10 000 latach – aż dwanaście, spośród których zniknęły mezopotamską, egipską, minojską, antycką, bizantyjską k. środkowo-amerykańska i andyjska. Pozostały: chińska, japońska, hinduska, islamska i zachodnia.

⁵ Killeraaplikation – zastosowanie konkretnej aplikacji wspomagającej działanie już istniejących mało używanych technik ale sprawiającej, że podobne, znane starsze technologie zostają wyparte, zabite podczas gdy nowe zapewniają sukces i stają się powszechne.

⁶ W poszczególnych rozdziałach Ferguson bynajmniej od nich nie stroni cytując nawet Marksa i Lenina.

⁷ Tamże, s. 23: „panowanie Zachodu nie zawsze było błogosławieństwem dla świata. Zachód był ojcem dobrego i zła. Konkurencja i monopol, nauka i zabobon, wolność i niewolnictwo, leczenie i zabijanie, pracowitość i lenistwo”, ale „w końcu lepszy brat zwycięży!”.

⁸ Ferguson, dz. cyt. s. 40.

⁹ Tenże s 266 i nn.

Niall FERGUSON, *Der Western und des Rest der Welt. Die Geschichte vom Wettstreit der Kulturen*, Propylaen 2012.

Dr Julian BARTOSZ jest znanym publicystą, Niemcoznawcą, autorem wielu cennych książek i artykułów.

Dziedzictwo profesora Bogdana Suchodolskiego

W 20. rocznicę śmierci Profesora Bogdana SUCHODOLSKIEGO, wielkiego polskiego uczonego – humanisty, współtwórcy współczesnej polskiej myśli pedagogicznej, odbyło się 2 października 2012 r. w sali Kołłątaja w warszawskim Pałacu Staszica uroczyste spotkanie grona uczniów i przyjaciół Profesora.

Wprowadzeniem do rozmowy było wystąpienie prof. Ireny WOJNAR, jednej z najbliższych współpracowniczek Profesora, która w pięknej w formie i treści wspomnieniu mówiła o dziedzictwie myśli swojego Mistrza, dziedzictwie wciąż pozostającym w Jej pamięci, bo wciąż pozostaje aktualnym i inspirującym w poszukiwaniu najlepszych kształtów współczesnej myśli pedagogicznej czy teorii kultury.

W wymianie myśli uczestniczyli wybitni przedstawiciele polskiej pedagogiki, a także bliski naszemu czasopismu wybitny pisarz – Eugeniusz KABATC, który podzielił się z zebranymi wspomnieniem ze spotkania z Profesorem we Florencji.

W następnym numerze RES HUMANA powrócimy szerzej do treści tego spotkania, które odbyło się pod auspicjami Komitetu Prognoz POLSKA 2000 PLUS Polskiej Akademii Nauk.

W.M.

Daniel ZBYTEK

Arabska wiosna, europejska zima?

Bliski Wschód do lutego 2012 roku był przewidywalny. Wiadomo, że rządzą w krajach tego regionu różnej maści autokraci, bardziej lub mniej szanowani na Zachodzie, zależnie od zakresu wspólnych interesów i aktualnej koniunktury politycznej. Jedni z autokratów, jak w Arabii Saudyjskiej i Jordanii byli królami, inni, jak w Iraku, Egipcie czy Libii, wojskowymi, a w innych, jak w Tunezji, oficjalnie cywilnymi prezydentami. Niezależnie od tytułów, wszyscy rządząli wiele lat, bezwzględnie rozprawiając się z wszelką opozycją. Od czasu do czasu zdarzały się akty terrorystyczne, gdy ekstremiści, najczęściej skrajni fundamentaliści islamscy, atakowali instytucje państwowe lub zagranicznych turystów – były to jednak wyjątkowe przypadki, wyjątki od reguły bezwzględnie sprawowanej władzy dyktatorów, krwawo likwidujących wszelkie wystąpienia przeciwko ich niepodzielnej władzy. W tym porządku zgodnej współpracy wyjątkiem był Iran – państwo ajatollahów, z którym Zachód do mógł dojść do porozumienia, mimo że olbrzymie zasoby ropy naftowej stanowiłyby podstawę do zrobienia obopólnie korzystnych interesów. Następcy Chomeiniego poważnie jednak traktowali jego islamistyczne przesłanie – ideę stworzenia państwa muzułmańskiego, gdzie jedyne prawo kodyfikował Koran. Państwo to trwa już prawie czterdzieści lat i mimo przepowiedni, że tego typu ustój jest z góry skazany na załamanie, okazał się trwały i ustanowił wzorzec, atrakcyjny dla innych ruchów

fundamentalistycznych w społecznościach muzułmańskich, nawet w tych krajach, gdzie wyznawcy proroka Mahometa stanowią mniejszość, jak to ma miejsce w Europie Zachodniej. Fundamentalistom bardzo pomogła „wojna z terrorem” prezydenta USA G.W. Busha. Najpierw zamachy z 11 września 2004 r. ukazały, że Amerykę można skutecznie zaatakować nawet na jej własnym terytorium, a potem inwazje wojsk Zachodu w Iraku i Afganistanie obnażyły fiasko idei budowy państwowości w oparciu o zachodni model demokracji, praw jednostki, rządów ustanowionego przez ludzi prawa. Ludność tych krajów odrzuciła amerykańskie i europejskie wzorce, uznała je za obce i gorsze od ich własnej tradycji.

Zachód współpracował z bliskowschodnimi autokratami, gdyż gwarantowali oni społeczny spokój, niezbędny, aby ropa naftowa i gaz ziemny bez przeszkód docierał do europejskich i północnoamerykańskich portów. Do szejków i dyktatorów płynęły ogromne pieniądze, znacznie przekraczające możliwości ich racjonalnego wykorzystania w rozległych, ale słabo zaludnionych państwach. W krajach naftowych ich obywatele mieli wszelkie udogodnienia – bezpłatne szkolnictwo, służbę zdrowia, mieszkania, pracę. Te kraje, jak np. Egipt i Jemen, których zasoby węglowodorów były niewielkie, wspierane były przez zasobniejszych sąsiadów, a ich mieszkańcy mogli liczyć na zatrudnienie w krajach naftowych.

Spokój ten okazał się złudny. Tunezja i Libia, kraje, w których obywatelom żyło się znacznie lepiej, iż w wielu europejskich krajach, komfort materialny okazał się niewystarczającym remedium dla setek tysięcy młodych ludzi, oczekujących od życia czegoś więcej niż dachu nad głową i pełnej lodówki. Ludzie krajów arabskich mieli i mają kompleks Zachodu – to stamtąd przybywały atrakcyjne dobra konsumpcyjne, to stamtąd dostarczano wzorce kulturowe – filmy, muzykę. Bliski Wschód dostarczał w zamian tylko jedno dobro – ropę, którą i tak wydobywano za pomocą maszyn i urządzeń dostarczanych z Zachodu i pod nadzorem zachodnich specjalistów. Na Zachodzie zdawano sobie sprawę z tych nastrojów społecznych, ale w powszechnym odbiorze budziły one w Europie i Ameryce Północnej pogardę dla nieudolnych muzułmanów, a wśród elit panowało przeświadczenie, że procesy demokratyzacyjne wyrwą świat arabski z wielowiekowego letargu.

„Arabska wiosna” roku 2012 początkowo zrodziła przeświadczenie, że właśnie ten przełom nastąpił, że oto Bliski Wschód odrzucając dyktatury dołączy do demokratycznego Zachodu. Wojska NATO wsparły libijskich rebeliantów w ich walce z Kaddafim przekonane, że oto wspierają koniec anachronicznej dyktatury i na jej miejsce powstanie nowe państwo, gdzie prawa wszystkich obywateli będą szanowane, a powstały chaos ma charakter przejściowy. **Te nadzieje skończyły się ostatecznie wraz ze śmiercią ambasadora USA w Libii Christophera Stevensa.** Już wcześniej wybory w Egipcie wygrali po obaleniu Mubaraka islamisci, także w Tunezji ugruntowali oni swoją pozycję. Libia, gdzie zaangażowanie Zachodu było tak jednoznaczne po stronie rebeliantów, oczekiwano, że będzie inaczej, że można się spodziewać choćby wdzięczności. Stevens reprezentował nowy model amerykańskiej dyplomacji – otwartej na inne kultury, dążącej do poznania i zrozumienia zachodzących zjawisk. Miałem możliwość rozmowy z ambasadorem

w Waszyngtonie DC i byłem pod wrażeniem jego wiedzy i przekonania, że Stany Zjednoczone muszą odrzucić imperialne myślenie na rzecz wzajemnego zrozumienia. Niestety, w Libii przewagę uzyskali ludzie, którym obce jest wszelkie porozumienie. To nie jest prawda, że sprowokował ich jakiś amatorski filmik – został on nakręcony wiele miesięcy temu, wydobyto go z zapomnienia tylko po to, by uzasadnić antyzachodnią nagonkę. W Benghazi czekali na ambasadora zabójcy, gdy przybył tam odwiedzając miejscowy amerykański konsulat i tym samym było pewne, że ochrona ambasadora będzie niewielka. Zamordowanie amerykańskiego dyplomaty dowodzi, że islamisci nie cofną się przed niczym, aby udowodnić swoje antyzachodnie nieprzejednanie, jako jedyna prawdziwa polityczna alternatywa dla muzułmańskich mas.

„Arabska wiosna” nie przyniosła sukcesu demokracji: zwyciężył islamizm, skrajnie upolityczniona wersja islamu. Nie ma ona nic wspólnego z tradycjami wielowiekowej i zróżnicowanej kultury muzułmańskiego Bliskiego Wschodu. Islamisci w równym stopniu jak zachodnich dyplomatów atakują czytanych w Koranie mułłów, tradycyjnych przywódców bieglących w islamskim prawie, sufich – a także wyznawców innej, niż sunnicka, odmian islamu: szyitów, alawitów, izmailitów. Żyjący od wieków na tych terenach chrześcijanie są mordowani – lub, w najlepszym razie, wysiedlani. **Islamistyczny Bliski Wschód to zupełnie nowa, groźna dla globalnego pokoju, jakość polityczna. Islamizm, to skutek globalizacji i umasowienia idei politycznych, które podobnie jak w Europie w XX stuleciu tworzą totalitarne ruchy społeczne.**

Europa, zaangażowana w sprokurowany przez siebie kryzys ekonomiczny, zdaje się tego nie dostrzegać. Być może obudzi się, gdy już będzie za późno, gdy, jak w starożytnym Rzymie, najeźdźcy od wewnątrz rozsądzą kostnie strukturę społeczną.



Uri J. HUPPERT

Amerykańskie peregrynacje premiera Izraela

Rok 2012 skierował wzrok świata na Bliski Wschód i północną Afrykę. Wielu starało się nas przekonać, że rewolucje w Tunezji, Libii, Jemenie i Egipcie są jakoby Wiosną Ludów, w duchu praw człowieka. Niewielu jednak wgłębiało się w złożoność Bliskiego Wschodu i tendencje fundamentalizmów islamskich.

A jednak, ambicje Iranu – współczesnej Persji, dążącego do budowy reaktorów atomowych, a zatem do konstrukcji bomby atomowej, zastraszają świat zachodni. Zastraszają sunnickie kraje Bliskiego Wschodu, a szczególnie zagrażają Izraelowi. Szyicki Iran, posiadacz bomb nuklearnych, skłócony z Zachodem jest – bez wątpienia – zagrożeniem światowym, o czym świadczą buńczuczne deklaracje jego prezydenta, Ahmadinejada. Doświadczenia II wojny światowej nakazują tu wyjątkową ostrożność.

Retoryka izraelskiego premiera „Bibi” Netanjahu wymaga tu specjalnej uwagi. Netanjahu i „przecieki” z precyzją rozdmuchiwane w miesiącach sierpniu, wrześniu i październiku tego roku wytworzyły gorącą atmosferę insynuującą, iż lotnictwo Izraela planuje w najbliższym czasie – a dokładnie w przeddzień wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych – atak na irańskie reaktory atomowe. Warto przypomnieć, że za rządów premiera Menachema Begina Izrael skutecznie zbombardował reaktor atomowy w Iraku (za rządów Saddama Husajna). Ehud Olmert, jako premier Izraela, zrównał z ziemią tajny reaktor atomowy w Syrii (za rządów współczesnego prezydenta Assada). Oba skuteczne ataki zostały zrealizowane bez oficjalnych deklaracji i doszły jedynie *post factum* do wiadomości ogółu.

A więc co kieruje przeciekami z Izraela w przeddzień wyborów prezydenckich w USA?

Pisząc te słowa 3 tygodnie przed datą 6 listopada pozwalam sobie założyć z wielką dozą pewności, że wojska izraelskie nie uderzą w Iran,

a z całą pewnością nie dokonają tego kroku przed 6 listopada 2012 roku! W tym kontekście pozwalam sobie zacytować nagłówek artykułu jednego z czołowych dziennikarzy gazety „Haaretz”: „*Bibi nie mówi po angielsku, Bibi nie mówi po amerykańsku. Bibi mówi po republikańsku*”.

Prawica izraelska, kierowana przez ideologię narodo-religijną (jej wierni charakteryzują się szydełkowanymi jarmułkami) jest głęboko przekonana o mesjanistycznej misji osiedlenia okregów Autonomii Palestyńskiej, by unicestwić powstanie państwa palestyńskiego na wschód od Izraela, na terenach Palestyny, zdobytych przez Izrael w wojnie sześciodniowej.

Partia republikańska natomiast, w ostatnich latach przeobraziła się w organ tzw. „*moral majority*”, ruchu „*telewizyjnych ewangelistów*”. Ruch ten, w teologii fundamentalizmu, stał się trzonem elektoratu Republikańców i liczy dziś ok. 60 milionów wyznawców w Ameryce Północnej, w południowych stanach („*Bible belt*”).

Podług koncepcji zmarłego pastora Farwella i jego wiernych następców, warunkiem powtórnego przyjścia Chrystusa (*second coming of Jesus Christ*) jest powrót Izraela do granic biblijnych i koncentracja Żydów w swej historycznej biblijnej ojczyźnie.

I tak interes krańcowej prawicy religijnej w Izraelu włącza się w mesjanistyczny ruch protestancki w USA na płaszczyźnie politycznej.

Tak ujętej koncepcji przeciwstawia się Barack Obama i jego partia demokratyczna. Obama lansuje wspólny front krajów sunnickich (kraje arabskie), by tym sojuszem zapobiec ekspansji szyickiego Iranu, z którym główna sekta Islamu – sunnici – pozostaje w ostrym konflikcie od setek lat i tym samym rozwiązać konflikt palestyńsko-izraelski.

Bibi, osiedleńcy na terenach Autonomii i ewangeliści amerykańscy stali się naturalnymi

sprzymierzeńcami, by plan demokratów zniweczyć. Bibi Netanjahu jest oskarżany przez wielu politologów, że jego retoryka, lansująca natychmiastowy atak na Iran, ma ponoć spowodować 6 flotę Stanów Zjednoczonych (stacjonującą na Bliskim Wschodzie), by zmusić Obamę do interwencji wojskowej przed wyborami lub wykazać wyborcom amerykańskim, że jego poparcie dla Izraela jest gołosłowne.

Dr Henry Kissinger, były republikański sekretarz stanu USA i architekt pokoju między Egiptem a Izraelem, w wyniku wojny październikowej z 1973 r., w swym wywiadzie internetowym z 22 października 2012 r. dla „World Tribune” ostrzegł, że „w tej mierze w jakiej administracja prezydenta Obamy odsunęła od władzy egipskiego prezydenta Mubaraka, los podobny może spotkać Izrael”.

Gotów jestem zgodzić się z tą opinią pod pewnymi warunkami. Jeśli Obama dojdzie ponownie do władzy, premier Nethaniahu znajdzie się najprawdopodobniej na celowniku Obamy, ponieważ symbioza pomiędzy teleewangelistami „Moral Majority” a mesjanistyczną narodową ortodoksją,

anulującą powstanie państwa palestyńskiego (kolonizacja arabskiej wschodniej Palestyny), będzie diametralnie sprzeczna z koncepcją administracji demokratycznej, dążącej do zminimalizowania konfliktu palestyńsko-izraelskiego w imię anty-szyickiego (= antyirańskiego) frontu sunnickiego z Arabią Saudyjską (i może wraz z Egiptem), jako alternatywy dla zbrojnego konfliktu z Iranem.

Ta obawa Nethaniahu przed konsolidacją z USA, w imię mesjanistycznej wizji judejskiego Izraela, popchnęła premiera Izraela do bezprecedensowego w stosunkach międzynarodowych poparcia dla partii republikańskiej i jej kandydata na prezydenta Romneya, czyli do interwencji małego, obcego państwa jawnie wtrącającego się w wewnętrzne sprawy innego państwa w celu poparcia w wyborach prezydenckich swojego tradycyjnego, republikańskiego protektora.

Wyniki wyborów prezydenckich w USA zadecydują o przyszłości Bliskiego Wschodu i mogą utrwalić historyczny kierunek Izraela i sunnickiego Islamu. Żyjemy w XXI wieku, w erze fundamentalizmów religijnych, które mogą zaważyć na przyszłości cywilizacji europejskiej.

Autorem tekstu jest wybitnym prawnikiem i politologiem, mieszka w Jerozolimie; jest stałym współpracownikiem naszego czasopisma.

PAMIĘCI ZMARŁYCH

Z najgłębszym żalem dzielimy się wiadomością, że 25 października 2012 r. odszedł od nas za zawsze po ciężkiej chorobie

Dr Stanisław KRYŚKOW

ceniony działacz kultury Ziemi Śląsko-Zagłębiowskiej, szczególnie zasłużony w dziele rozwoju i upowszechnienia czytelnictwa książek.

Ten związek z literaturą, ze słowem pisany doprowadził Go do poznania i związania się z wartościami kultury humanistycznej i świeckiej. Dał temu wyraz przewodząc przez ponad dwadzieścia lat ruchowi świeckiemu na Śląsku i Zagłębiu, zapewniając jego rozwój i społeczny autorytet, uczestnicząc zarazem w pracach ogniw krajowych.

Wspominamy Go jako Człowieka wielkiej kultury osobistej, jako człowieka tolerancji, jako wybitnego uczestnika wielkiej pracy na rzecz bliskich nam wspólnie wartości.

Pozostanie na zawsze w naszej pamięci i sercach.

Z głębokim żalem żegnamy

prezesa Kazimierza MORAWSKIEGO

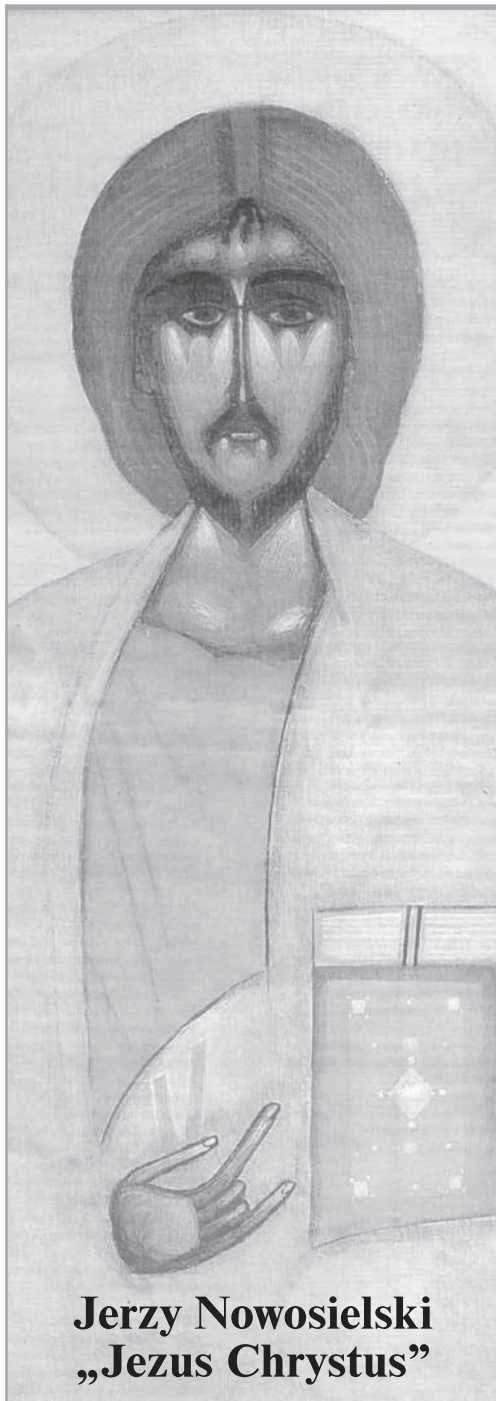
wybitnego działacza chrześcijańsko-społecznego, wielce zasłużonego dla krzewienia idei dialogu i tolerancji, bliskiego i otwartego na wartości świeckiego humanizmu.

Będzie w naszej pamięci zapisany swoją ujmującą kulturą, taktem i wyrozumiałością, swoją dobrocią, która tworzyła niezapomniany klimat serdecznej współpracy.

Pozostanie w naszej pamięci i sercach.

**Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej
im. Tadeusza Kotarbińskiego
Redakcja „RES HUMANA”**

WOBEC BIBLIJ



Jerzy Nowosielski
„Jezus Chrystus”

Drukujemy niżej pierwszy z czterech części eseju prof. Edwarda A. MIERZWY, historyka akademickiego o Jezusie – Jego życiu i dziele widzianym wszelako odmiennie niż zapisane od blisko dwóch tysięcy lat w kanonie biblijnym. Zdajemy sobie sprawę z podwójnego ryzyka, który podejmuje Autor tekstu, ale i nasza redakcja publikując go. Chodzi najogólniej o to, czy nie jest sprzeczne z powołaniem nauki zajmowanie się kwestiami należącymi do wiary, przed czym przed laty przestrzegał w swych pismach Artur Schopenhauer; czy warto to czynić narażając się na zarzut świętokradztwa, a łagodniej mówiąc – ranienia sumień ludzi wierzących.

Decydujemy się na druk tego tekstu, bo uważamy, że każdy wolny człowiek, w tym profesjonalny uczyony, ma prawo do przekazania innym dorobku swoich dociekań, czy swoich przekonań, jeśli tylko nie naruszają one rygorów warsztatu naukowego, czy godności ludzi wiary.

Tekst prof. Edwarda A. Mierzwy, spełnia, naszym zdaniem, te wymogi. Zachęcamy naszych Czytelników do jego lektury i nadsyłania uwag.

Redakcja

Edward A. MIERZWA **JEZUS:** jego życie i los widziane inaczej

(Czy historyk ma prawo mieć wątpliwości?) (Cz. I)

„Wszyscy ludzie obowiązani są szukać prawdy dotyczącej Boga i Jego Kościoła...”. Zapis *Kodeksu prawa kanonicznego* zobowiązuje mnie szukania odpowiedzi na pytania jakie mnie się nasunęły podczas studiowania *Nowego Testamentu* i analizy paru dzieł związanych z chronologią i medycyną starożytną, a dotyczących osoby Jezusa.

Jezus był osobą historyczną i to nie budzi wątpliwości, chociaż w autorytatywnych pismach, m.in.: Józefa Flawiusza, Filona z Aleksandrii czy pismach eseneńczyków z Qumran, nie ma o nim wzmianek. Powinien o Jezusie poczynić jakieś wzmianki Pliniusz Starszy, który przebywał wiele lat w Palestynie i uczestniczył w oblężeniu Jerozolimy w 70 r. Nie napisał ani słowa! O czym to świadczy? O tym, że grupa skupiona wokół Jezusa nie odgrywała żadnej znaczącej roli politycznej, która zaprzętałaby umysły ówczesnych dziejopisów, a informacje ewangeliczne o Jezusie – mogą być nieprecyzyjne, *ergo* – wątpliwe.

Dokonania Jezusa i jego biografia, z dużą luką pomiędzy 12. a 36. rokiem życia (tak 36. a nie 29. jak utrzymuje tradycja, o czym niżej!) zostały bogato udokumentowane przez uczniów-ewangelistów Jana: (dalej: Jan.), Łukasza (dalej: Łuk.), Marka (dalej: Mk.) i Mateusza (dalej: Mat.), ale do tej dokumentacji można mieć zastrzeżenia, jeśli będziemy je rozpatrywać z punktu widzenia metod i metodologii badania historycznego. Mają one tzw. pochodzenie filiacyjne (mają w swej genezie wspólne czasoprzestrzenne i ludzkie realia), wykazując bardzo wiele uderzających podobieństw, a nawet tożsamości. Kościół uznał je za natchnione i wprowadził do kanonu *Nowego Testamentu*. Zatem na temat Jezusa, syna Józefa, wnuka Hellego (Łuk. 3. 23-38; Mat. 1. 1-17) historycy mają do dyspozycji 4 ewangelie i kilkanaście listów ewangelistów, oraz liczne nie uznane przez Kościół apokryfy, ale nie mają jednoznacznie wiarygodnych źródeł dających się skonfrontować z innymi historycznymi przekazami. Nie można też podważyć faktu ukrzyżowania Jezusa w roku 30 n.e. **A mimo to wszystko inne jest kwestią wiary, poczynając od daty jego urodzenia po jego śmierć i zmartwychwstanie.** Szczególnie to ostatnie jest tylko i wyłącznie problemem wiary, bowiem o ile fakt ukrzyżowania i jak się powszechnie sądzi śmierci Jezusa miał wielu naocznych świadków, o tyle moment jego zmartwychwstania nie miał charakteru publicznego i nie został poświadczony przez żadnego naocznego świadka, poza ustnymi świadectwami wąskiego grona jego uczniów, którzy pisali o kontaktach z Jezusem po rzekomej śmierci na krzyżu, ale to świadectwo jest zbyt enigmatyczne.

Pierwsza wątpliwość dotyczy zasadności nazywania Jezusa „królem żydowskim”. Potomkiem króla Dawida był Św. Józef, a nie Maria, matka Jezusa. Genealogię tej co gorliwi wyprowadzają od Aarona, brata Mojżesza. Z kolei, skoro Józef nie był, jak chce Kościół, biologicznym ojcem Jezusa, zatem ten ostatni nie mógł rościć żadnych praw do godności królewskiej.

Druga wątpliwość, a właściwie nieprawidłowość dotyczy daty urodzenia Jezusa. I choć owa data jest dla wszystkich oczywista, to nie jest prawdziwa. Od czasów Dionisiusa Exiguusa (Dionizjusza Małego), rzymskiego mnicha z przełomu V/VI w. mamy do czynienia z periodyzacją linearną – czasem przemijającym lub płynącym liczoną od momentu narodzenia Jezusa. To Dionisius Exiguus wpadł na genialny pomysł liczenia czasu od narodzin Jezusa, a pomysł ów upowszechnił na przełomie VII/VIII w. anglosaski teolog i historyk Beda Venerabilis (Czcigodny, 672/73-25 V 735). Liczenie czasu od jakiegoś symbolicznego momentu jest czynnością oczywistą, niektórzy Grecy za początek ich czasu historycznego przyjęli datę pierwszych igrzysk olimpijskich (756 r. p.n.e.; Rzymianie przyjęli rok 753 p.n.e. – datę założenia Rzymu (*ab urbe condita*); Egipcjanie liczyli czas według panowania 30 dynastii faraonów itd. (*de facto* było ich 32). Sposób liczenia czasu zaproponowany przez Dionizego nazwano „erą AD” – *Anno Domini*, albo nową erą, albo, rzadziej, „erą dionizyjską”. Potem dodano starą erę – czas liczony od narodzenia Jezusa w niejako w przeciwnym kierunku – ku początkowi czasu, który mógł się rozpocząć według

przyjętych przekonań religijnych w momencie stworzenia świata (*ab creatione mundi*), lub w kategoriach naukowych – od Wielkiego Wybuchu (*Big Bang*), czyli momentu w którym rozpoczął się ekspansję znany nam wszechświat. Ponieważ mamy rok 2012 r., to wniosek wydaje się prosty: Jezus narodził się 2012 lat temu, czyli w pierwszym roku nowej ery. Nic bardziej błędnego, ale sześć miliardów ludzi na tym świecie tak liczy czas, a ponad miliard obchodzi mniej lub bardziej uroczystie kolejny dzień narodzin Jezusa – 25 grudnia. To co najmniej dziwne, bo z tego ponad miliarda chrześcijan, co najmniej kilkadziesiąt milionów uczyło się jako tako historii i zapewne czytało *Pismo Święte*, lub przynajmniej słuchało jego fragmentów podczas kazań, które teraz nazywa się homiliami. Tylko, że czytanie *Nowego Testamentu* czy słuchanie ewangelii, a umiejętność analizowania, podparta jako taką wiedzą historyczną to zupełnie dwie różne rzeczy.

Co zatem niewłaściwego jest w datowaniu narodzin Jezusa? A to, że przeczy temu sam *Nowy Testament*... i to w kilku miejscach. Zacytuję więc fragmenty Ewangelii wg Mat. 2.1 (Mędrcy ze Wschodu): „Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei **za panowania króla Heroda** [podkr. EAM], oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do króla Jerozolimy i pytali: »Gdzie jest nowo narodzony król żydowski?« (...). Wtedy Herod przywołał potajemnie Mędrców i wypytał ich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy...”. Zatem Mateusz mówi bardzo wyraźnie, że Jezus urodził się „...za panowania króla Heroda...” [podkr. EAM] i wszyscy chrześcijanie to wiedzą, no powiedzmy – powinni wiedzieć. Mateusza wspiera Łukasz – 2.1 („Narodzenie Jezusa”): „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz (Ewangelista Łukasz popełnił błąd, ponieważ Kwiryniusz był wielkorządcą w dwadzieścia lat później–EAM). Wybrali się więc wszyscy, aby dać się zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali nadszedł dla Maryi czas rozwiązania”. Mamy zatem kolejne odniesienie do realiów historycznych: rozporządzenie Cezara Augusta o spisie ludności. I znowu Mat. 2.13 (Ucieczka do Egiptu): „Gdy oni odjechali (Mędrcy–EAM), oto anioł Pański ukazał się Józefowi we śnie i rzekł: »Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu; pozostań tam, aż ci powiem; bo Herod będzie szukał Dziecięcia aby je zgładzić«. On wstał, wziął w nocy Dziecię i Jego Matkę i udał się do Egiptu; **tam pozostał aż do śmierci Heroda...**” [podkr. EAM]. I jeszcze raz Mat. 2.19 (Powrót do Nazaretu) „A gdy Herod umarł, oto Józefowi w Egipcie ukazał się anioł Pański we śnie i rzekł: »Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i idź do ziemi Izraela, bo już umarli ci, którzy czyhali na życie Dziecięcia«.

Z obydwu cytowanych ewangelii wynika, że Jezus nie narodził się w roku powszechnie przyjmowanym jako rok pierwszy naszej ery. Przeczy temu kilka niepodważalnych przesłanek:

Po pierwsze: **Herod I Wielki zmarł w 4 r. przed naszą erą** [podkr. EAM], już po narodzeniu Jezusa.

Po drugie: wspomniany **pierwszy spis w Judei ogłosił wielkorządcą Syrii Sencjusz Saturninus, w 8 r. p.n.e.** [podkr. EAM] (to właśnie ta wyżej wspomniana pomyłka św. Łukasza. Kwiryniusz przeprowadził drugi spis w Syrii w ponad 20 lat później). W starożytności taki spis ogłaszano, podobnie jak dziś kiedy mamy środki masowego przekazu, co najmniej z rocznym wyprzedzeniem.

Po trzecie: Archelaos, syn Heroda I Wielkiego i jego następca z nominacji Oktawiana Augusta, rządził Judeą, Samarią i Idumeą w latach 4 p.n.e. – 6 n.e.

Zatem Maria nie mogła urodzić Jezusa w 1 roku naszej ery, od czego bierze początek obowiązująca dziś chronologia liniowa, ale kilka lat wcześniej, a mówiąc

W źródłach historycznych takiej informacji, jak wspominałem, nie znajdziemy. Nie ma jej też w papirusach qumrańskich, które zostały niedawno odczytane. Jedyny ślad mówiący o wiedzy Jezusa o innych krajach niż Judea to fragment Ewangelii Mat. 5. 8, o kuszeniu przez szatana: „Jeszcze wziął go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata ...” A może należy to interpretować jako: „...przypomniał Mu wszystkie królestwa, które zwiedził...”? Cdn.

Autor eseju, prof. Antoni MIERZWA, jest historykiem, kieruje Zakładem Historii Powszechnej do XIX w. w Filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Piotrkowie Trybunalskim; prowadzi od lat unikalne w Polsce badania nad historiografią światową; jest autorem 14 książek, w tym m.in. o stosunkach polsko-angielskich w XVII wieku.



Paradoksy krytycznego myślenia

Tak jak nie można wyłączyć ze wspólnego ludzkiego dziedzictwa tego, co zapisane w księgach świętych religii światowych i co poniekąd otwiera owo dziedzictwo, co wciąż trwa, i co wyznacza świat wartości milionów wyznawców Abrahama i Buddy, Jezusa czy Mahometa, tak też nie sposób nie dostrzegać wielkiego bogactwa zawartego w przeogromnej ilości tekstów interpretacyjnych owe księgi, a wśród nich także tekstów krytycznych wobec tych ksiąg.

Zatrzymajmy się tutaj na owych tekstach krytycznych. To warzyszą one księgom kanonicznym, zwłaszcza związanym z tradycją chrześcijańską, od ich samego początku, ale współlistnieją z nimi w sposób nie pozbawiony pewnego tkwiącego w nich paradoksu. Polega on na tym, sformułujmy taką sugestię, że oto autorzy tekstów krytycznych domagają się od ksiąg świętych tej samej dokładności – co do wielu faktów, dat czy wydarzeń – która wyznacza choćby czas wschodów czy zachodów słońca, dokładności właściwej naukom empirycznym, choć przecież księgi święte nie należą do tego rodzaju gatunku ksiąg. Autorzy tekstów krytycznych chcą jednak, najczęściej w dobrej wierze, dociec tego, co wydaje się im w tych księgach niespójne, co kłóci się z logiką czy po prostu wiedzą, i często stwarzającą wrażenie, jakby byli oni zgola obecni w czasach powstawania ksiąg świętych.

Ten, nazwijmy go, sympatyczny paradoks dostrzec można klarownie w wydanej właśnie książce Romana Horynia: jego krytycznych myślach na temat wielu najważniejszych fragmentów Starego i Nowego Testamentu oraz Koranu: rozmowy Abrahama z Jahwe, „Sprzedanie Józefa do Egiptu” i „przejście przez Morze Czerwone”, „ostatniego polecenia Pana dla Mojżesza” czy wreszcie opowieści o chrzcie, ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu Jezusa. Czytamy oto książkę pełną pasji, nacechowaną głębokim przekonaniem autora do własnych racji, opartych na rozległej lekturze wielu innych pism krytycznych, przenikniętą świętą wiarą, „że niedaleki jest czas, w którym człowiek zacznie się kierować trzeźwym rozumem i wszelkie wymysły o antropomorficznych Bogach uzna za bajki”. Bo Boga samego, sądzi autor, „należy przedstawiać jako bezosobową energię twórczą, którą każdy człowiek jest w stanie postrzegać oczami we wszystkim co żyje i nas otacza”.

Jest w tej książce, jak w wielu podobnych, sztandarowy wątek związany z osobą Jezusa Chrystusa: jego odejściem po zmartwychwstaniu nie do Boga Ojca, jak w pismach kanonicznych, lecz jego wyprawa do jednego z buddyjskich klasztorów w Indiach, jego tam nauczaniu i jego tam dokonaniu ziemskiego żywota.

Roman Horyń, i nie tylko on, przedłużają życie Jezusa na ziemi, chcą, aby pozostawał dalej na ziemi, żył nadal wśród zwykłych ludzi, sam pozostając niezwykłym, nie chcą, aby oddalił się w odległe przestrzenie niebiańskie.

Otóż jakie konkluzje wynikają z tych meandrów wyobraźni, pasji, potrzeby ekspresji? Wolno sądzić, że przesłaniem większości tekstów krytycznych wobec ksiąg kanonicznych, nie jest kwestionowanie religii czy jej tradycji, jest natomiast usilna próba racjonalizowania tego, czego ze swej istoty nie można zrjonalizować: „W każdym razie – pisał na ten temat przed wielu laty w swym studium *O religii* Artur Schoppenhauer – wiara i wiedza są to rzeczy zasadniczo różne, które dla swego własnego dobra powinny się trzymać z dala jedna od drugiej i kroczyć każdą własną drogą, wcale nie zważając na siebie”.

Przestroga wielkiego filozofa nie odstrasza, jak widać, wielu autorów tekstów krytycznych o księgach świętych. Bo wciąż pozostają oni w kręgu owego, wspomnianego wcześniej, paradoksu. Lecz może nie są żadnymi w końcu więźniami tego kręgu, poza tym, że nie mogą pozostawać obojętni na rzeczywistość świata i dylematy człowieka, obojętni wobec paradoksu samego współczesnego świata, którego pragną być świadkami w sposób, który uważają za najlepszy. Roman Horyń i jego najnowsza książka są w samym środku pośród tych wszystkich, którzy nie pozostają obojętni.

Andrzej BIERNACKI

Roman HORYŃ, *Biblia i Koran czytane krytycznie*, Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, Warszawa 2012, s. 193+3nlb.

CI, KTÓRZY ODESZLI

W dniu 1 listopada, w Dniu Święta Zmarłych, wspominamy w sposób szczególny tych wybitnych działaczy naszego ruchu, którzy odeszli, lecz których dzieło wciąż trwa, wciąż pozostaje z nami – w naszej pamięci i sercach.

Wspominamy tych, którzy kolejnych latach przewodzili ruchowi

dr Jerzego SZTACHELSKIEGO

prof. Tadeusza M. JAROSZEWSKIEGO

prof. Witolda TYLOCHA

prof. Adama ŁOPATKĘ

Wspominamy

doc. dr Bożenę KRZYWOBŁOCKĄ, historyka, Jej wielki wkład w rozwój ruchu i Jej osobisty urok;

prof. Jana LEGOWICZA, wybitnego historyka filozofii, Osobę ujmującej szlachetności i wielkiej mądrości, zmarłego dwadzieścia lat temu;

prof. Andrzeja NOWICKIEGO, historyka filozofii, współtwórcy powojennego odrodzenia ruchu świeckiego w Polsce; niezmordowanego w swym trudzie do końca swych dni.

Wspominamy

red. Michała HOROSZEWICZA, publicystę, którego twórczość i życie całe było służbą dla wartości kultury świeckiej i tolerancji.

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Gdzie szukać społeczników?

Miał rację Sartre nie przyjmując nagrody Nobla. Już wtedy koterie zaznaczały swoje wpływy. Sartre przede wszystkim podkreślał, że nikt nie jest uprawniony do tego, by wyrokować o wartości dzieł określonego twórcy. Wątpliwe jest, jego zdaniem, uzurpowanie sobie przez jakieś gremium uprawnienia do oceniania innych.

Obecnie Pokojową Nagrodę Nobla otrzymała Unia Europejska. Nie jest ona tworem doskonałym, a ponadto aprobuje politykę militarną swoich państw członkowskich. Zezwala na rozkwit tych dziedzin techniki, którymi zainteresowane jest wojsko. Przyznanie tej nagrody Unii Europejskiej oceniam jako nieporozumienie, które można zasadnie porównać z przyznaniem wcześniej Pokojowej Nagrody Nobla prezydentowi Obamie.

Zarówno Unia Europejska, jak i prezydent USA, uwikłani są w aktualnie toczące się wojny. Oczywiście, można je nazywać misjami pokojowymi, obroną społeczeństw na innych kontynentach przed ich władcami, można też nadawać wojnom pozór urzędystwianstwa szczytnej misji wprowadzania demokracji na świecie. Ale już Sokrates wykazał wyrażenie wady tego ustroju, zaś wiele wieków po nim, Oswald Spengler krytykował szowinizm europejski. Nic się nie zmieniło. Nadal dumni jesteśmy z naszej europejskości. Odnaczamy się poczuciem wyższości w stosunku do tych mniejszościowych wyznań religijnych, które – by wymienić Świadców Jehowy – głoszą zakaz prowadzenia wojen. Do pacyfistów nadal podchodzi się w naszej kulturze z dużą rezerwą. Głosząc społeczny charakter natury ludzkiej – nie czyni się żadnych wysiłków, by edukacja miała na celu wyrabianie życzliwości dla każdego człowieka i absolutną niezgodę na zabijanie kogokolwiek.

Unia Europejska otrzymała nagrodę pokojową, mimo że uchwalając nadmiar przepisów prawnych, koncentruje uwagę przede wszystkim na sferze gospodarczej. Edukacja, niestety, też wprawdzie została objęta szczegółowymi przepisami, ale poza absurdami nie wnoszą one żadnych konstruktywnych wartości. A można by mocą przepisów prawnych zalecać uczniom czytanie lektur o wymowie pacyfistycznej. Obojętność wobec tego, co naganne, w konsekwencji zmniejsza wrażliwość i wytwarza postawę swoistej obojętności. Przyznanie tej nagrody Unii Europejskiej ujawnia raz jeszcze, że żyjemy w świecie pozorów.

Bardzo wiele mogliby wnieść do życia publicznego społecznicy. Niestety, nie wiadomo gdzie ich szukać. Coraz mniej jest wśród nas osób wyczulonych na problemy nie dotyczące ich własnego domu. Oczywiście można usłyszeć wiele trafnych ocen naszej rzeczywistości, ale niewiele one wnoszą, skoro zespólna jest z nimi bierność. Grecy zdobyli się na bunt wobec rozmaitych przejawów

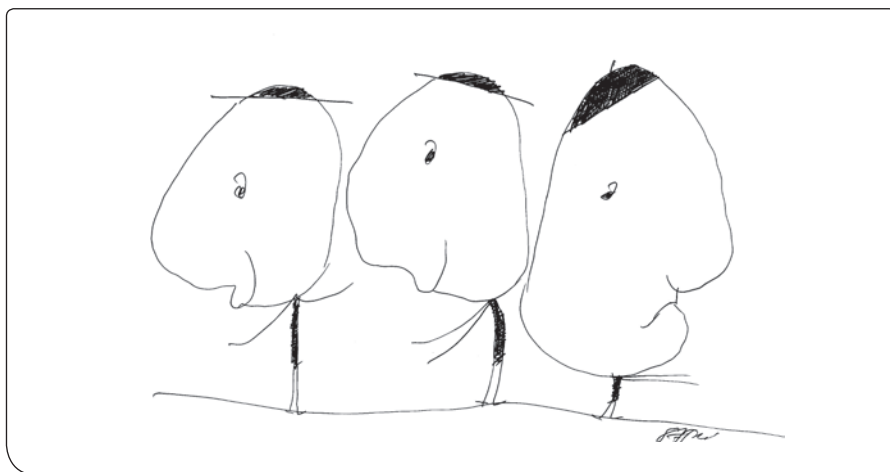
niesprawiedliwości, ale są krytykowani przez prominentnych polityków w Polsce. A powinni być stawiani jako wzór właściwej postawy obywatelskiej. Demokracja ma bowiem wiązać się z aprobatą dla przejawów oporu wobec władzy państwowej, określanych ostatnio w duchu języka angielskiego jako nieposłuszeństwo obywatelskie, oczywiście o charakterze legalnym.

Spółcześni, czyli osoby kierujące się bezinteresownością, pragnące wcielić w życie wyższe wartości, mogliby doprowadzić do porozumienia zwalczających się u nas sił politycznych. Mimo przeciwstawnych nawet światopoglądów, można znaleźć platformę porozumienia. Wielu publicystów i dziennikarzy paxowskich w czasach PRL pisało o tym. Na przykład nie zgadzając się z koncepcją państwa wyznaniowego, propagowanego przez PIS – powinno się cenić niepokój ich wywołany emigracją, czy na przykład wyprzedają tego, co jest i powinno pozostać własnością państwa.

Słuchając wystąpień osób związanych z PPS, można mieć nadzieję, że partia ta sprzyjałaby pożytecznym przemianom dla całego społeczeństwa. Jednakże oddziaływanie tej jedynej partii głoszącej wartość socjalizmu jest ograniczone przez brak środków materialnych, a nawet własnego lokalu. Zresztą do mediów dopuszczani są właściwie niemal jedynie gloryfikatorzy naszego wolnorynkowego systemu ekonomicznego, który już przez Marksa został gruntownie skrytykowany. A wówczas dopiero raczkował.

Od Redakcji

Z prof. Marią Szyszkowską z reguły zgadzamy się, więcej – podziwiamy Jej odwagę myślenia. W przypadku jednak Jej krytyki przyznania Nobla dla Unii Europejskiej i prezydentowi Obamie, tej krytyki nie podzielamy.



Rys. Jan Świepien

Jubileusz Profesor Marii Szyszkowskiej

W pierwszych dniach października 2012 r. Profesor Maria SZYSZKOWSKA obchodziła piękny Jubileusz, z okazji którego serdeczny list gratulacyjny skierowali na ręce Jubilatki prezes Rady Krajowej TKŚ prof. Jerzy J. Wiatr oraz redaktor naczelny RS HUMANA dr Zdzisław Słowik. W liście podkreślono dorobek naukowy Jubilatki i Jej rozległą aktywność społeczno-kulturalną rozwijaną w duchu wartości humanistycznych, racjonalistycznych i świeckich, istotnie wzbogacających polską naukę i kulturę.

Homo creator et conciliator

Wciąż prześladowała go myśl, że ta pospolita prawda o „dyskretnym uroku” konformizmu jest jednak fałszywa. Jest jak owa „fałszywa świadomość” towarzysząca najczęściej przy formułowaniu osądów pewnikowych, gdy się zapomina nieoczekiwanie o potrzebie wsłuchiwanie się w wewnętrzne wątpliwości... Owszem, rzecz staje się powszechna, wygodna i teraz nosi już znamiona politycznej poprawności, choć jednocześnie – co się przyznaje z oczywistą przykrością – potrafi być przemocą ekonomicznego przymusu. W czym bardzo przypomina to, co się działo w etyce społecznej dawnymi czasy...

Było jednak jakoś poważniej, ocenił Profesor tę swoją uwagę już nie tylko dla siebie, bo oto Przyjaciel wkraczał w progi jego domu w kokonie jesiennej mgły. Przyzwoitość – jako miara postawy obywatelskiej – miewała w sobie pewien symptom odpowiedzialności, choć nie da się ukryć, trudniej ją było zachować jako wartość kompletną, pełniejszą niż sumienie. Za to bohaterko ją obnoszą ci, co znaleźli się w orbicie politycznych zwycięzców; nazbyt często jednak są skażeni połowicznością obrazu świata, która, niestety, bywa także cechą charakteru.

- Zwycięzców zwykle nie stać na równowagę – wszedł Przyjaciel w to głośnie myślenie Profesora. - Chyba nikt nigdy nie zwycięża do końca. Najtrudniej jest pokonać swoją małość.

Profesor nie po raz pierwszy poczuł się zaskoczony uwagą Przyjaciela. Wydała mu się bardzo trafna, wymagała jednak sprawdzenia.

- Mógłbym mieć na myśli osoby nieprzeciętne, wybitne – wyjaśniał nie bez obawy, że one także mają swoje słabości, z którymi sobie nie radzą. Dysymulacja, jako postawa człowieka odważnego, dotąd się nie powiodła, niedoskonałość stawiała się sztandarowa. Ale Przyjacielowi nie o nich chodziło.

- Takich nie widać wokół – oświadczył może nazbyt pewnie. - Nasza demokracja ich rozjechała i demonstracyjnie sprasowała. Zostali na harcach tylko cwaniacy z forsy.

- I podobni bez forsy – uzupełnił Profesor. - W legowisku biurokracji i mediów.

- W barłogu, profesorku, w barłogu, nie bójmy się słowa. - Przyjaciel wkraczał do rozmowy po swojemu. - Czytam właśnie co się wyprawia z nazewnictwem ulic. Jak kombinują komisje i radni, żeby nie nazwać niczego godnymi nazwiskami.

- Ciekawe, oni twierdzą, że jest odwrotnie...Masz jakieś nazwiska na podorędziu? - zainteresował się Profesor sprawą.

- A mam, mam - zapewnił Przyjaciel. - I wiem, że nie tylko ja je mam i że oni, te niedokszałciuchy je mają, ale poniewierają nimi w swoich ptasich główkach!

Profesor zastanawiał się przez chwilę, po czym zaryzykował w swoim mniemaniu, zdania konfrontując.

- Nie wiem, czy myślimy o podobnych, godnych, jak powiadasz, nazwiskach, o osobach z czasów „niesłusznych”, które zajmując wysokie miejsc w kulturze polskiej, nie wsparły buntu politycznego, splamiły się ugodowością, jak się dziś osądza.

- Też mi sędziowie! - zachnął się Przyjaciel. - Na czym chlebie wyrosli?

- „Nie samym chlebem człowiek żyje” - zauważył Profesor.

- Czym słowem się karmili? Nie Iwazskiewicza, przypadkiem?
- I do niego mają najwięcej pretensji...
- Jakby się niczego nie nauczyli...

Profesor pomyślał o tym, jak trudno jest nauczyć się polskości. Że być Polakiem nie znaczy rozumieć wszystko, co jest polskie. Za dużo tego jest, za bogate w pięknie i boleściach swoich, za głębokie w korzeniach, za płytkie w układach tyleż „między swemi”, co z sąsiadami za miedzą. Skłóceni ze wszystkimi, czy mogą przetrwać w pokoju?

- Powiedz, Profesorze - odezwał się Przyjaciół, rozglądając się wokół mimo woli, jakby w poszukiwaniu winnego wsparcia. - Ty znałeś wielu z nich, tych z górnej półki tamtego czasu kultury, powiedz, dlaczego się poddali tamtejszej władzy? Dlaczego nie stanęli okoniem?

- Bo oni byli między - powiedział Profesor z nieoczekiwaną dla siebie stanowczością, wręcz zapominając o obowiązkach gospodarza. - Oni byli między społeczeństwem a władzą. Zdawali sobie sprawę, że muszą osłabiać zderzenia tych dwóch sił narodowych mocą swojej wysokiej kultury. Ani Jarosław Iwazskiewicz, pisarz, ani Bogdan Suchodolski, uczonec, ani Tadeusz Łomnicki, aktor, twórcy zaiste nadzwyczajni, nie dla kariery wikłali się w sploty politycznych konfliktów, a ściślej, nie dawali się uwikłać w doraźne namiętności uczuć i racji, chroniąc przed nimi prawdę swojej wiedzy i sztuki, bez czego nawet religia nie byłaby w stanie przetrwać!

- Kościół nie pozostał na uboczu - zauważył Przyjaciół. - Wtrącał się do wszystkiego, jak mógł.

- W tym groźnym konflikcie epoki udawał, że jest mediatorem, ale nazbyt wielka jest w nim pokusa władzy, aby to się mogło udać - orzekł Profesor. - Ludzie go tworzą, toteż ludzkim ulegał pasjom.

- Jasne - zgodził się Przyjaciół. - I dziś ulega. A najtrudniej jest być między. Dokopią takim z obu stron. To się zupełnie nie opłaca, nie sądzisz?

Znowu Profesor zastanowił się, nim znalazł odpowiedź.

- Im się zapewne nie opłaca - przyznał. - Ale dla nas są nieodzowni. Bo dla nas homo creator to zawsze homo conciliator. Tacy przez nowych władców zostali uznani za oportunistów, ale bez ich pojednawczej postawy Polacy nie umieliby się porozumieć. A przecież muszą, w imię godnego życia. Heroiczny jest oportunizm tych, którzy niosą pokój innym...

Przyjaciół posmutniał, jakby rezygnując ze szklanki z winem.

- Nie lubią się bracia - westchnął. - Skaczą sobie do oczu, nie mogą się obejść bez wroga. Jak był tu wróg prawdziwy, łatwiej nam było ze sobą, co?

- Lepiej, że go nie ma - podsumował Profesor i podszedł do banku po kieliszek wina.



Ukorzone filozofowanie Józefa Bańki

*Jesteśmy marionetkami,
A Niebo pociąga za nitki.
Naprawdę, nie tylko w przemości.
Na krótką chwilę
Pojawiamy się na scenie.
Następnie po kolei wracamy
Do pudełka
Nicości.*

To dwunastowieczny muzułmański poeta i astronom Omar Chajjam. A oto fragment z *Kartoteki* Tadeusza Różewicza:

*Jeżeli Hela nie wiedziała
Że Cezar przekroczył Rubikon
To Cezar nie przekroczył
Rubikonu
I cała historia to „betka”
Hela unieważniła
Historię
Alea iacta est*

Nie czuję się oczywiście kompetentny po temu, by się wypowiadać w kwestiach filozoficznej zawartości dwutomowego dzieła profesora Józefa Bańki *Filozofia wieczysta*, opatrzonego wyraziście przekornym podtytułem „Krótka lekcja anatomii ludzkiego losu”. W dodatku każdy z kilkusetstronicowych tomów ma własny, dodatkowy podtytuł; tom pierwszy opatrzonej jest uszczegółowioną zapowiedzią, iż dotyczy „Człowieka – «niemowlęcia wszechświata» i Boga kwantowego”, drugi zaś skupia się na wyłożeniu czytelnikom, czym jest – według autora – „Nadmonada wieczysta i świat równoległy jako nierzeczywisty”; wydawcą całości edycji, opublikowanej w Poznaniu w roku 2011, jest Stowarzyszenie Psychologia i Architektura.

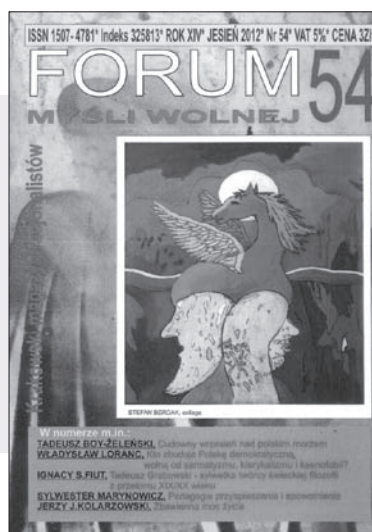
Przypatruję się temu dziełu z innego, nie profesjonalnie filozoficznego punktu widzenia, choć nie kryję, że w podstawową, wymaganą od filologa wiedzę z zakresu filozofii wprowadzali mnie na Uniwersytecie Warszawskim badacze i myśliciele z kręgu tzw. szkoły lwowsko-warszawskiej (profesorowie Kotarbiński, Ajdukiewicz, ówczesny docent Szaniawski), raczej odlegli od szkoły myślowej profesora Bańki. Na jego traktat patrzę przez pryzmat analityczny krytyka literackiego. Z tegoż punktu widzenia rozpatrywałem na tym miejscu niedawno poetyckie dzieło Józefa Bańki, stwierdzając, że nie mieści się ono właściwie w mym polu badawczym. I nie umiałem obarczyć siebie (ani mojej profesji) odpowiedzialnością za ten rozróżnienie, jaki się wytworzył między tym, co Józef Bańka zademonstrował czytelnikom a tym, co nawet najbardziej ogólnie uważane jest za poezję.

Tym razem podchodzę do jego dzieła, ponad wszelką wątpliwość zamierzonego na dzieło programowe, jako pokorny laik – i nie taję szczególnego zachwyty – czy

też może zachwytu pewną osobliwą, szczególnie dla mnie cenną wartością omawianej publikacji. Jest nią mianowicie zaświadczenie w jej przypisach i odnośnikach rozległe jej ukorzenie erudycyjne, niebywała rozległość przywoływanych w cytatach i nawiązaniach lektur z zakresu literatury pięknej i piśmiennictwa określanego niezbyt precyzyjnym mianem pisarstwa humanistycznego. Dwa fragmenciki tych przytoczeń pozwoliłem sobie wykorzystać jako *sui generis* motto do niniejszych uwag – motto pozwala czytelnikom zorientować się, jak swobodne, nie „ilustracyjne” ani też szkolarskie są w dziele Józefa Bańki te literackie skojarzenia i nawiązania. Są przede wszystkim imponująco liczne; oto skromna przygarść przywoływanych autorów: Publius Ovidius Naso, Plotyn, J. W. Goethe, T. S. Eliot, Albert Camus, William Shakespeare, Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Blaise Pascal, Edward Stachura, Louis Buñuel, Witkacy, Mircea Eliade (i to jako pisarz – zastęp cytowanych myślicieli wypełnił by cały obszar przeznaczony na pomieszczenie niniejszych uwag)... A żadne z owych przywołań nie jest przypadkowe, efekciarskie, kokietliwe, wszystkie odsłaniają źródła intelektualne, etyczne i estetyczne myślenia autora *Filozofii wieczystej*. Sam zaś tytuł dzieła w każdym razie sugeruje, by je przypisać do pewnej tradycji filozofowania, której zawdzięczamy nader rozległe w dziejach piśmiennictwa pole operacyjne.

Nasunąć się może czytelnikowi pytanie, kto spośród tych autorów przywoływany jest najczęściej i przytaczany najobficiej. Jest kimś takim Plotyn – i jego *Eneady* w świetnym przekładzie A. Krokiewicza. Hmm, najwybitniejszy z neoplatoników, nieczuły na zew chrześcijaństwa (w Rzymie, w III wieku naszej ery), stąd też rzadko wspominany i cytowany (nawet jego sarkastyczne polemiki z gnostykami – jednymi z najwcześniejszych heretyków – nie były zbyt często wykorzystywane przez obrońców „czystości” młodej doktryny), wierny swemu hellenistycznemu, zresztą nie odziedziczonemu, lecz z rozmysłem przybranemu dziedzictwu. Jeśli wolno domniemywać, autor omawianego dzieła gustuje w myśleniu nieortodoksyjnym – i takowe właśnie, niczym nie skrępowane filozofowanie uprawia. Ku głębokiemu usatysfakcjonowaniu czytelnika przywiązanego do erudycyjnego ukorzenia owego filozofowania.

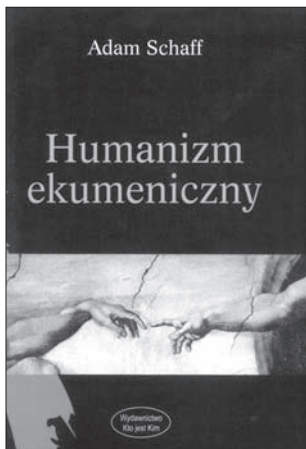
Zachęcamy do czytania



WŚRÓD KSIĄŻEK

Adam SCHAFF

Humanizm ekumeniczny, Wydawnictwo KTO KIM JEST, Warszawa 2012, s. 113+3 nlb.



Adama Schaffa humanizm ekumeniczny

Przypomnienie obecnie w edycji polskiej tekstów napisanych przez Adama Schaffa dwadzieścia lat temu i wydanych za granicą, jest inicjatywą zasługującą na uznanie przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszym to osoba Autora, wybitnego filozofa marksisty, zmarłego w 2006 roku, w którego biografii odbija się cały, fragmentami dramatyczny, czas powojennych losów polskich, czas, który przez wiele lat współtworzył, aby w kolejnym czasie swej pracy uznać, że to droga, którą trzeba głęboko skorygować, odczytać na nowo myśl Marksowską i wyprostować powojenne drogi rozwoju idei i praktyki socjalizmu. Były to idee i program, zrodzone z niepokornego ducha, które kosztowały go wiele.

Wszystkie te najlepsze wartości owego ducha, wszystkie główne myśli, które organizowały wówczas jego wysiłek twórczy można teraz odczytać z kart tej książki, niewielkiej objętościowo lecz bogatej wielością zawartych w niej myśli. Jest wśród nich zwięzła diagnoza najważniejszych spraw ówczesnego świata, próba odpowiedzi na kolejno formułowane pytania: „Gdzie się dzisiaj znajdujemy?” („znajdujemy się – czytamy A. Schaffa – w punkcie zwrotnym całej cywilizacji”); „Do-

kąd prowadzi droga? (tak jak bankructwem zakończył swój żywot „realny socjalizm” tak nadchodzi zmierzch dotychczasowego modelu kapitalizmu, a „postkapitalistyczny ustrój”, który się wyłoni, Autor określa pojęciem „nowego socjalizmu”); „Jakie siły wytyczą drogę do nowego porządku?” (Autor sądzi, że „siły” te wyłonią się z dialogu i współpracy „dwóch potężnych prądów humanistycznych naszej epoki” to jest społecznej lewicy i chrześcijaństwa, zrodzą w dążeniu do „ekumenicznego humanizmu”). Kolejne rozdziały książki podejmują szczególnie bliskie Autorowi kwestie tego, co w marksizmie jest przestarzałe, a co ma w nim walor trwały, wciąż ważny jako narzędzie poznania i przekształcania rzeczywistości społecznej i wreszcie zespalające całość książki ważne rozważania o humanizmie chrześcijańskim.

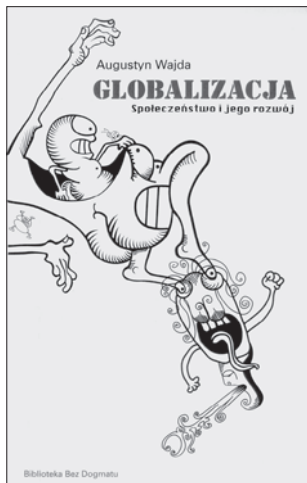
Wyłania się z tych rozważań profetyczna zgoła myśl Autora o powstaniu wielkiej wspólnoty – ludzi laickiego humanizmu i humanizmu chrześcijańskiego – jako „ruchu społecznego”, który odnowi sprawy współczesnego świata. „Znaczenie sprawy jest oczywiste. Do decyzji każdego z nas należy wniesienie swojego wkładu. Czy uda się rozwiązać ogromne zadania teraźniejszości i czekające nas jeszcze większe, okaże dopiero przyszłość” – czytamy słowa, które wolno uznać za intelektualny testament Adama Schaffa w jego długiej, wielce złożonej, i niemniej szlachetnej wędrówce przez całe swoje pracowite życie.

Andrzej BIERNACKI



Augustyn WAJDA

Globalizacja. *Spółczesność i jej rozwój*,
Biblioteka BEZ DOGMATU, Instytut Wy-
dawniczy „Książka i Prasa, Warszawa 2011,
s. 334 + 2 nlb



Globalizacja jako proces społeczny

Można by sądzić, że na temat globalizacji, jej istoty, wielu postaci czy dziejów wreszcie, napisano już tak wiele, że znalezienie choćby niewielkiej przestrzeni wolnej dla nowej narracji to nie lada wyzwanie.

Profesor Augustyn Wajda w swej najnowszej książce podjął to wyzwanie poprzez przedstawienie zjawiska globalizacji na tle szerokiej panoramy dziejów społeczeństwa ludzkiego od jego początku. Przyznajmy, to zadanie tyle niełatwe wobec rozległości w czasie samych dziejów, ale może jeszcze bardziej wobec nader zróżnicowanych i nierównomiernych procesów cywilizacyjno-kulturowych w przebiegu ich historii i ich globalnym wymiarze. Pułapki, które stwarzało przyjęcie takiej optyki analitycznej, a zwłaszcza potrzeba selekcji materiału, dopełniały miary trudności, z którymi musiał się zmierzyć Autor książki.

Wysiłek ten widoczny jest już na poziomie struktury tego studium, podzielonego na dwie części i sześć rozdziałów, z których część pierwsza, objętościowo stosunkowo niewielka jest próbą przedstawienia tego wszystkiego, co najogólniej dotyczy zjawiska globalizacji czy metodologii jej badań, szkół badawczych i niezmierzonej liczby uczonych z najwyższych półek nauki światowej i czego konsekwencją jest sformułowanie pojęcia „globalistyki” uznanej za odrębną dziedzinę wiedzy zajmującą się „teorią istoty i genezy globalizacji”. Autor sądzi nawet, że globalistykę można uznać za „pewien ruch intelektualny, który zrodził się w rezultacie przyspieszonego

rozwoju społeczno-gospodarczego w drugiej połowie XX wieku, a ściślej... kiedy nastąpił gwałtowny zwrot w myśleniu z kategorii narodowych na globalne”.

Lecz zanim ten zwrot się dokonał upłynęło wiele lat ludzkich dziejów, które Daniel Bell, pierwsza wielkość spośród amerykańskich socjologów, uporządkował w schemacie czterech er: preagrarnej, agrarnej, industrialnej i postindustrialnej, uznanych za główne filary na których wsparła się historia naszej Ziemi i związane z nią procesy globalizacji. Ale i coś jeszcze: te filary stały się zarazem konstrukcją nośną całej drugiej części rekomendowanej tu książki.

Augustyn Wajda staje się od tego momentu wytrwałym przewodnikiem po tyle długich, co złożonych drogach i drózkach owych er, dziejów Europy i świata, a nawet więcej – dziejów samego człowieka, bo to on był w odległych mrokach przeszłości i nadal pozostaje twórcą rzeczywistości swojego życia, życia społeczeństwa ludzkiego. Jest to opowieść znana z jakże wielu już istniejących opracowań, czy wyniesiona z sal szkół albo audytoriów akademickich i zapewne utrwalona też w naszej wiedzy o świecie, o czasach minionych i całkiem współczesnych, wiedzy o nas samych, której nigdy wszelako nie za mało, aby zrezygnować z odczytania jej na nowo. Owe dzieje są tutaj przypomniane w postaci niezwykle przystępnej, bez nadmiaru szczegółów, z troską o ich rozumienie, choćby w procesie dydaktycznym.

W tym wykładzie przez cały czas przewija się zarazem konsekwentnie jego myśl przewodnia: jest nią formująca się, w sposób często niedostrzegalny, idea i praktyka globalizacji, to wszystko, co poszerzało przestrzeń wspólną dla mniejszych i większych ludzkich wspólnot, i w końcu – narodów, kontynentów, świata całego. Owo poszerzanie sfer spraw wspólnych, to nie tylko tworzenie się światowego rynku, ze szczególną rolą rynków finansowych, ale to także globalizacja kultury, informacji, tworzenie się światowej „wioski medialnej”, to telewizja satelitarna i Internet wreszcie.

Krajobraz globalizacji zagęszcza się więc i komplikuje, stwarza problemy o fundamentalnym znaczeniu dla naszej teraźniejszości i przyszłości. W końcowych częściach książki śledzimy próbę identyfikacji złożonych następstw procesów globalizacji: po pierwsze – narastanie konfliktu pomiędzy decyzjami, a szerzej rzecz ujmując – rolą centrów decyzyjnych ponadnarodowych instytucji globalnych (np. banków) wobec suwerennych prerogatyw państw narodowych; po drugie – powiększanie się nierówności społecznych w wyniku procesów globalizacji, co wywołuje coraz ostrzejsze protesty społeczne.

Autor książki analizuje te wszystkie następstwa procesów globalizacji z troską o maksymalny obiektywizm ocen i wniosków, a zarazem z wrażliwością na ich społeczne czy po prostu ludzkie doświadczenie, w którym gorycz i troska o jutro idą w parze z postępem i wzrostem, z całym dobrem, które społeczeństwo chce wiązać z procesem globalizacji. I zapewne myślało tak o tym w przeszłości i niemniej myśli i teraz.

Lektura książki Augustyna Wajdy może być nader pomocna w tym myśleniu.

Zdzisław SŁOWIK

W CZASOPISMACH

W polskich mediach, widzianych w całości, a więc zdolnych do działania na świat odbiorców z siłą tsunami, notujemy fale jego przyływu i odpływu, choć sam żywioł wciąż trwa.

Była afera Amber Gold, o której media zaskakująco szybko zapomniały, zastępując ją ekscytacją czym innym, co zyska nabywców ich produkcji. Pozostają jednak sprawy fundamentalne: nie zakończone dotąd żadnym oczekiwanym finałem, przestępcze, nie wahajmy się tak powiedzieć, działania służ specjalnych tzw. IV RP, tych służb, które doprowadziły do śmierci Barbary Blidy, a wielu innych upokorzyły lub skazały na cywilną śmierć. Te przestępcze działania pozostają wciąż nie rozliczone, choć przypomina o nich nieustannie i odważnie „Gazeta Wyborcza” tekstami Wojciecha Czuchnowskiego czy Bogdana Wróblewskiego. Przypominają inne poważne czasopisma oraz wiele wybitnych osób naszego życia publicznego, lecz ich wołanie o

szacunek dla sprawiedliwości i państwa prawa pozostaje zbywane

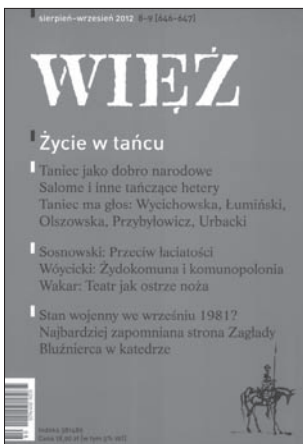
milczeniem tych, od których zależy podjęcie stosownych działań. W tej sprawie nie widać żadnego tsunami, tutaj media, poza wspomnianymi wyjątkami, też milczą. Wstyd.

Pozostając w kręgu spraw trudnych w polskim życiu publicznym warto odnotować, w nawiązaniu do urzędzonej w Warszawie 29 września br. przez PiS, Związek Zawodowy „Solidarność” i Radio Maryja z przybudówkami demonstracji pod hasłem „Obudzenia Polski” głos dominikanina, o. Tomasza Dostatniego, wydrukowany pod tytułem „A gdzie misja ewangeliczna?” w „Gazecie Wyborczej” (numer z 25 września 2012):

„Kościół poprzez swoje ruchy i media oraz środowiska z nim związane, bardziej lub mniej formalnie jest wciążany instrumentalnie i świadomie w działalność czysto polityczną. Partia polityczna, opozycyjna, podpira się Kościołem w swojej walce o władzę i protestach politycznych. A w oficjalnym nauczaniu Kościół katolicki, np. w encyklice Jana Pawła II

<Centesimus annus> (47) mówi: <Kościół respektuje słuszną autonomię porządku demokratycznego nie ma tytułu do opowiadania się za takim albo innym rozwiązaniem instytucjonalnym czy konstytucyjnym>”. To wyraźnie sprzeczne z ostatnim kazaniem biskupa Antoniego Dydycza na Jasnej Górze czy tekstami w <Niedzieli>. ...I już tylko konkluzja tego tekstu: „Z niepokojem i obawą patrzę na zbliżającą się demonstrację warszawską. Spustoszenie po jej zakończeniu będzie wymagało nie tylko posprzątania przez służby porządkowe miasta – spustoszenie w umysłach i duchowe w sercach będzie wymagało pracy przez wiele lat. I to na pewno nie będzie dotyczyło tych, którzy dziś zachęcają do udziału w tym niebezpiecznym podpalaniu Polski” – mądra konkluzja roztropnego duchownego bliska wszystkim nie demonstującym swego patriotyzmu i polskości na ulicy.

Podobnie wyważona i mądra refleksja towarzyszyła prof. Andrzejowi Friszke, wybitnemu historykowi dziejów najnowszych z PAN, w jego tekście „Stan wojenny we wrześniu 1981?” zamieszczonym w sierpniowo-wrześniowym numerze „WIEZI” 2012 r., czasopisma wielce zasłużo-



nego dla polskiej kultury i dialogu chrześcijaństwa ze współczesnym światem, w tym także ze światem laickim.

„Stanu wojennego we wrześniu 1981 r. – czytamy konkluzję tekstu – nie wprowadzono. Podczas wspomnianej sesji sejmowej 24 września doszło do kompromisu między <Solidarnością> a Sejmem. Posłowie przegłosowali ustawę o samorządzie pracowniczym w wersji, która niemal do końca budziła sprzeciw Biura Politycznego, gdyż określała wybory dyrektorów większości zakładów w drodze konkursu. 26 września zaczęła się druga tura Zjazdu <Solidarności>, który bez przeszkód obradował do 7 października. Dziesięć dni później na IV Plenum KC PZPR Stanisława Kanię pozbawiono funkcji I sekretarza...”. Tak, historia najnowsza toczyła się trudnymi i zawilumienymi drogami, wypełnionymi dialogiem i porozumieniem, ale też konfrontacją, często, niestety, bardzo dramatyczną. Czy Polska ma być skazana na taki tylko scenariusz, czy nie stać nas na czas długiego wewnętrznego pokoju?

To pytanie narzucają opinie wypowiedziane na temat ostatniej wielkiej kampanii marketingowej PiS, która – nagłaśniana bezkrytycznie i bezrefleksyjnie przez większość polskich mediów - dała temu ruchowi pewną przewagę w badaniu sondażowym nad PO. Prof. Ireneusz Krzemiński, znany socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, z rozmowami z Katarzyną Wiśniewską, dziennikarką „Gazety Wyborczej” (numer z 3 października 2012) nie wyklucza wygranej PiS w nadchodzących wyborach parlamentarnych. Może się tak stać, jeśli państwo nie będzie działało energicznie i sprawnie. „Często urzędnicy nie starają się racjonalnie działać na rzecz obywateli, wołają mieć święty spokój, zastaniają się przepisami. Wystarczy spojrzeć, w jakim trybie wydaje się zezwolenia na działalność gospodarczą, na budowę domu itp. To drobiazgi, ale strasznie męczące. Część z tych pretensji jest uzasadniona, a część nie. Bo mamy nadal problem z wolnością, która dla wielu obywateli jest równoznaczna z kompletną samowolą, Brakuje przekonania, że wolność wiąże się również z ustaleniem pewnych reguł. Polacy są skłonni głosić hasło <państwa prawa>, jednocześnie krytykując wszystko, co wynika z państwa prawa”, a wynikają, dodajmy, obowiązki obywatela.

Ten stan społecznych zachowań, jeśli się pogłębi, będzie w coraz większym stopniu sprzyjał PiS: będą mieli jego wodzowie argument, aby zdemontować ograniczenia proceduralnej demokracji, swobód obywatelskich i praw człowieka i zastąpić je autorytarną dyktaturą, do czego dążą i co już zaczęli praktykować w czasie swych dwuletnich rządów.

Na niebezpieczeństwo to wskazuje również Waldemar Kuczyński (też w „Wyborczej” z 8 października 2012) zastanawiając się nad rosnącym poziomem cynizmu i kłamstwa wodzów PiS w ich podjętych ostatnio działaniach marketingowych. Autor sądzi, że: „Temat smoleński i dziwne opowieści, jakie mu towarzyszą, są na dobre i złe związane z głównym projektem politycznym tej partii i jej szefa. Z obaleniem obecnego porządku politycznego, rozprawa z elitami wspierającymi ten porządek i budową nowego państwa”. Ostatnie sztuczki marketingowe, owo groteskowe desygnowanie „pozaparlamentarnej premiera”, wszystkie maski, w które stroi się Kaczyński, mają w istocie tylko ten jeden cel: zastąpienie systemu politycznego III RP systemem dyktatury autorytarnej.

Zakończmy ten przegląd akcentem pięknym, przywracającym poczucie sensu dla dzieł godnych szacunku. Jan Turnau, redaktor „Gazety Wyborczej”, ceniony znawca spraw religii i Kościoła katolickiego oraz dialogu ze światem tych, którzy pozostają poza nim, dzieli się na łamach dwumiesięcznika „BUNT młodych duchem”, wydawanego przez Oddział Warszawski Wolnej Wszechnicy Polskiej wspomnieniem Michała Horoszewicza, zmarłego w lipcu br. wybitnego publicysty laickiego, od lat związanego także z naszym czasopiśmem, pomyslna tego, który „Chrześcijaństwo obserwował z zewnątrz, ale opisywał i oceniał wyjątkowo obiektywnie”; który „imponował swoją rzetelnością, dokładnością (czasem nawet nieco pedantyczną), na miarę wręcz pracy naukowej”; który był – po stronie laickiej – gorącym orędownikiem „różnorodnego dialogu” z Kościołem dla wspólnego dobra człowieka.

Humanistyczne dziedzictwo myśli Michała Horoszewicza pozostaje, jak redaktorowi Janowi Turnauowi, bliskie i nam w „RES HUMANA”.

Wybrała i opracowała
Wacława MIELEWCZYK



Z obrad Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej

Pod przewodnictwem prezesa prof. Jerzego J. WIATRA obradowało 4 października 2012 r. w Warszawie kolejne w obecnej kadencji posiedzenie Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Zebrani przedyskutowali programowe i organizacyjne założenia dorocznego posiedzenia plenarnego Rady Krajowej, które postanowiono zwołać w dniu 24 listopada 2012 r. w Warszawie i jego cześć statutową rozpocząć debatą panelową na temat sytuacji religii i Kościoła w świecie współczesnym i w Polsce z perspektywy 50. lat od otwarcia II Soboru Watykańskiego, spróbować odpowiedzieć na pytanie: Czy Sobór ten był sukcesem Kościoła czy też niespełnioną nadzieją na jego głęboką odnowę? Prezydium uznało potrzebę nadania debacie charakteru dialogowego poprzez zaproszenie do udziału w niej znanych osób związanych z Kościołem.

Prezydium zapoznało się z informacją o bieżących pracach rad terenowych Towarzystwa oraz z trudnościami, jakie napotyka redakcja RES HUMANA w zapewnieniu ciągłości wydawania tego jednego z najważniejszych ogniw działania naszego Towarzystwa. Postanowiono podjąć w tej sprawie stosowne działania.

Zebrani przyjęli uchwałę o wyróżnieniu Medalem im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego kilku osób szczególnie zasłużonych dla kultury świeckiej.

Bielsko-Biała. Rada Podbeskidzia Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego gościła 28 września 2012 r. na swym okresowym spotkaniu wiceprezesa Rady Krajowej TKŚ i redaktora naczelnego RES HUMANA dr Zdzisława SŁOWIKA. Gość spotkania, powitany przez prezesa Rady Podbeskidzia panią mgr Annę CZAPŁĘ w swym wprowadzeniu do otwartej i szczerzej dyskusji skupił uwagę na najważniejszych problemach naszego kraju, w tym zwłaszcza na wzrost konfliktów politycznych i światopoglądowych, wywierających wysoce niekorzystny wpływ na lepsze i sprawniejsze rozwiązywanie wielu trudnych problemów wewnętrznych; mówił też o stanowisku Kościoła wobec tych problemów i potrzebie jego jednoznacznie brzmiącego głosu na rzecz jedności i integracji społeczeństwa i narodu.

W dyskusji wskazywano na wiele trudnych problemów, z którymi zmagają się wiele polskich rodzin i młodych, bezrobotnych Polaków; na rosnące nierówności społeczne, ale też na wiele zjawisk pozytywnych, które widać w postępującej modernizacji naszych wsi i miast, naszego codziennego życia.

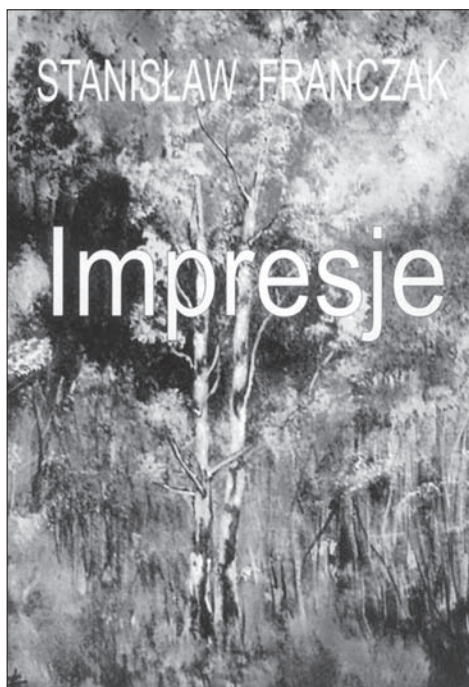
A.B.

Wrocław. W dniach 5–6 października 2012 r. we Wrocławiu, z inicjatywy szeroko rozumianych środowisk lewicy, odbyło się szereg imprez o wspólnej nazwie Festiwalu Równości. Ich głównym animatorem był prof. Piotr ZUK, pracownik naukowy Uniwersytetu Wrocławskiego, ceniony działacz dolnośląskiej lewicy.

W ramach wspomnianych imprez odbyła się też debata panelowa na temat nierówności społecznych w Polsce, w której, jako paneliści, uczestniczyli: dr Ewa GROSZEWSKA, dr Jarosław KLEBANIUK i dr Jan SOWA. W dyskusji uczestniczył m.in. red. Radosław S. CZARNECKI, reprezentując Towarzystwo Kultury Świeckiej oraz redakcję RES HUMANA. W swym wystąpieniu zwrócił szczególną uwagę na postępujący regres myślenia racjonalnego w życiu społecznym, politycznym i w kulturze; na zapomnianie o dziedzictwie Oświecenia, na coraz bardziej natarczywej inwazji mitów, przesądów i myślenia irracjonalnego.

RSCZ





Wiersze Stanisława Franczaka mają delikatną konstrukcję. Łatwo odnajdują drogę do wrażliwości czytelnika, bo ich autor nie zniewala patosem etycznych czy politycznych apeli. Nie wznieca emocji wyrafinowanym obrazowaniem. To nie jest poezja wielkich słów i szokujących obrazów. Żaden z wierszy nie jest jednak zimny, szary czy monotony, z rymami i regularnym rytmem. Nowe wiersze są miniaturowymi portretami opisującymi nie przedmiot lub zdarzenie lecz sposób ich przeżywania. Autor opowiada o nich tak, iż czytelnik chętnie ulega sugestii, że świat jest jeden, różnorodny lecz niepodzielny. Istnieją ludzie: ja, ty, ona, on. Każdy jest podmiotem. Istniejemy w przyrodzie, której podział na żywą i nieożywioną jest dla poety umowny albowiem drzewo, piasek, skała, wiatr i chmury, słońce i księżyc mają swoją naturę, a więc swoje cele i potrzeby. Ich nieustanny ruch postrzegany jest jako droga do ich osiągnięcia. Wszystko jest zmienne. Wszystko trwa historycznie w czym podobne jest do nas. Dla S. Franczaka świat to jedność. Żaden jego segment nie jest autonomiczny, samowystarczalny. Żadna z form nie jest wieczna. Potok w wierszu „Droga do morza” po burzy jest pijany, nuci sprośne piosenki

O trudnej sztuce postrzegania świata

Stanisław FRAN CZAK. *Impresje*. Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie. Kraków 2012 r.

Zakrzywiony czas

*Jutro wleciałem na skrzydłach
aż do nieba które wczoraj
runęło w przepaść
roztrzaskały się wszystkie zegary
spaliły kalendarze i
czas wymieszał się i zagubił
nie ma dni ani nocy
lata cofają się wstecz
ludzie powstałi z grobów
i zmieniają się teraz
w niemowlęta które
znikają jak bańki mydlane
kiedyś osiągniemy stan
czarnej dziury w Kosmosie*

lecz za zakrętem czeka go jaz a on: „Spierze go na kwaśne jabłko /i zrzuci wprost do rzeki /która teraz zbiera się /i wolno rusza dalej /wprost do morza”. W tym wierszu potok, jak wszystko i każdy, wnika w krainę cieni. Ma swój Hades.

W wierszach z nowego tomu: „liście akacji śpiewają ptakom”, „słońce kaszle cały dzień”, „Księżyc usiłuje czytać”. Czytelnik poddaje się tym sugestiom. Podoba mu się wędrówka poety przez świat i jego sposób przeżywania tego, co spostrzega. Nie szokują go aniołowie szykujący pogrzeb Boga, zapalający gwiazdy i gaszący słońce. Dzieje się tak, bo poeta pojmuje Boga jak góral nawykły do wolności. W jego

Dokończenie na IV str. okładki

O trudnej sztuce postrzegania świata

Dokończenie z III str. okładki

Ucieczka z raju

*Jeszcze śnią mi się
sekrety ogrodów z których
kiedyś wyszliśmy
poszukując słów
na polnej drodze
rosły wiersze i rozciągały się
poematy łąk
aż do nieba
szukaliśmy oazy
z rymów i asonansów
by zbudować
nadzieję*

Tobie

*Milczą słowa które
pisze wiatr na niebie
milczą Twoje oczy które
tak mocno pragną
milczy księżyc który
nie umie czytać
tylko
serce bezsłownie krzyczy
jak niemowlę
nieznające miłości*

wierszach nie jest On pierwszym z suwerenów feudalnej hierarchii, wszechmocnym i wiecznym. Bóg jest ludzki, miewa kłopoty i bywa zmęczony. Zmaga się ze złymi aniołami, a trudzi z tymi dobrymi też wymagającymi uwagi. Nie dziwimy się więc gdy: „czesze swą brodą i przegląda się w lustrze”. Podoba się nam gdy na majówce „wzruszona Maryja schodzi z ołtarzyka i rozdaje kiście bzu”.

Opis przeżyć z wędrówki przez przestrzenie i czas, przychodzi poecie łatwo. Ostatni tomik ujawnia jego staranną pracę nad słowem. W opisie narodzin wiersza czytamy: „słowo nabiera kształtu / gdy je dotykam ostrożnie / rośnie pod językiem/jeszcze bez imienia jeszcze /nie opierzone jak pisklę/które już kwili/karmię go ziarnem myśli”.

Zwracam uwagę na nowe właściwości poetyckiej sztuki S. Franczaka. Nie znaczy to jednak, że stajemy się świadkami jakiegoś przełomu czy przewrotu w twórczej postawie. Czytelników jego wierszy zawsze pociągało to, co w literaturze współczesnej coraz rzadsze, a przecież dla kreacji wspólnoty nadal bardzo ważne. Myślę o wprost fanatycznej wierności pejzażowi stron rodzinnych, tradycji środowiska i opartym na pokorze podziwie wobec najbliższych. Są i w tym tomiku tego ślady. Z wiersza

„Smak chleba” zacytuję jego początek: „Wiejski bochenek chleba/pachnie moim dzieciństwem /i uśmiechem babci/która rodziła go w piecu/a potem uroczyście chrzciała /zimna wodą nadając każdemu inne imię”...

Pielęgnowanie tych wrażeń z wędrówki przez świat pozostaje chronionym maceznikiem dla nowych wierszy. Jest jednocześnie gwarancją, że twórczość tego poety pozostanie zjawiskiem oryginalnym, zdolnym do otwarcia wyobraźni młodych czytelników na tradycje i doświadczenia bez których nasza wspólnota stałaby się tylko wydmuszką niesioną przez burzliwą rzekę mody.

Wiersze z nowego tomu przekonują, że dla ich autora twórca wiersza jest światem. Jest nim także człowiek, co wiersz ten czyta, i jest nim także każdy co wierszy ani nie pisze ani nie czyta lecz podobnie jak poeta stawia pytania: Co robić, jak przeżywać świat?

Władysław LORANC

